POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 23-go maja 1942r.* **Rok IV. Nr. 21**

PRAWDZIE W OCZY

Od osoby, która zna Niemcy zbliska i dokładnie, a w tej chwili przebywa na kontynencie, mając możność śledzić pewne zjawiska z innego dystansu, niż my—otrzymaliśmy następujące uwagi.

Ostatnio bardzo dużo mówi się i pisze o wewnętrznych kłopotach niemieckich, minorowych nastrojach ludności, tarciach wojska i partii i t.d. To wszystko jest prawda, mamy na to nawet dowody w samej prasie niemieckiej, ba nawet w przemówieniach Goebbelsa. Jeżeli jeździ do Hamburga i t.p. i mówi, że nieważne jest, kiedy wojna się skończy, tylko jak się skończy i równocześnie przekonywa słuchaczy /i to nie byle jakich słuchaczy, bo właśnie sfery gospodarcze, które dobrze zdają sobie sprawę z możliwości Ameryki, imperium brytyjskiego/, że dla Niemiec jest kwestią życia i śmierci, żeby wojnę wygrać, bo przegrana to w ogóle koniec Niemiec, to widocznie właśnie także i w tych sferach ludziom znudziło się już to wojowanie i chcieliby to już jakoś zakończyć. Nastroje nie są dobre, w wojsku rzeczywiście musiały zajść jakieś poważne rzeczy, skoro trzeba było tak radykalnych posunięć. Myślę, że Hitler nie tylko dlatego przejął naczelne dowództwo, żeby w ten sposób natchnąć nową nadzieją masy niemieckie i odpowiedzialność za niepowodzenia w Rosji przypisać niejako dowództwu armii. Pewnie chodziło i o coś więcej.

Nie mniej jednak sądzę, że w dalszym ciągu nie należy z tego wyciągać zbyt pochopnych wniosków i przeceniać wydarzeń. Kłopotów tego rodzaju Hitler miał już sporo i dotychczas dał sobie z tym radę. Nie widzę powodów dlaczego obecnie miałoby być inaczej. Nic się w Niemczech istotnego nie zmieniło, machina partyjna i wojskowa działa nadal, nic nie słyszeliśmy o poważnych sabotażach w przemyśle, transportach i t.d., nic o jakichś poważniejszych wzburzeniach opinii. Jeżeli nawet naprawdę ustawia się w Berlinie karabiny maszynowe, to pewnie raczej na przyszły użytek i dla pokazania, że Hitler i partia na serio są zdecydowani zrobić wszystko, żeby mieć w ręku całe Niemcy i prowadzić wojnę dalej.

Widocznie wierzą, że na wiosnę ponowna ofensywa przeciwko Rosji przyniesie decydujące rozstrzygnięcia. Możemy być również pewni, że zrobią wszystko, aby się do tego dobrze przygotować. Cokolwiek bowiem mówi się o możliwych wydarzeniach wewnętrznych w Niemczech to zawsze trzeba pamiętać o tym, że Hitler dobrowolnie władzy nie odda, że związana jest z nim wielka grupa ludzi, dla których utrzymanie się to nie tylko sprawa władzy, nie tylko chęć uformowania Niemiec i Europy albo i świata według własnych poglądów, ale też sprawa po prostu majątku, życia i t.d.

Jest wiele dowodów na to, że będą działać naprawdę nie w rękawiczkach a aparat jest olbrzymi i dobrze grający. Wszystko jedno jaki ma dziś nastrój Block czy Zellenleiter /dawniej też było tak i owak/, ważne jest, że dziś nadal spełnia wszystkie obowiązki, *Werkschutz* działa, Gestapo jest, SS to cała uzbrojona armia, która napewno nie jest w całości na froncie. Cały wyrafinowany system wewnętrzny, tysiące nici /drutów należało by raczej powiedzieć/ tak samo trzymają Niemca dziś, jak trzymały w 1939 i nie tylko wiążą jego swobodę, ale zmuszają go do wykonywania tego, co Hitlerowi jest potrzebne do wojny, czy temu Niemcowi to się podoba nie podoba.

Nie trzeba zapominać, że i przed wojną wielu się to nie podobało. Jest wiele dowodów na to, że masy nie są w stanie zrobić cokolwiek przeciwko reżimowi i nie chcą!—Cokolwiek możemy powiedzieć o zbiórkach ciepłych rzeczy jest to jednak fakt, że zbiórka dała duże wyniki—jakimi sposobami, to nie jest takie ważne, skoro w 1933, 34 i t.d. też niewiele się tym sposobom przypisywało istotnego znaczenia.

O przewrót z góry zaś jest trudno, bo jest ich tam zbyt dużo związanych na śmierć i życie, aby dali się uprzedzić i to komu? Wojsku, które nigdy w Niemczech nie było zdolne do szybkiego politycznego działania? I przeciwko komu?—Przeciwko tym, którzy w 1933, 1934 /słynny czerwiec/ i t.d. pokazali, jak dobrze znają technikę rewolucyjnego działania? Nie wierzę w żaden ruch rozsadzający od wewnątrz, dopóki nie będzie decydujących uderzeń tak silnych jak uderzenia pałą w łeb. Nie wierzę.

Nie trzeba zapominać, że w Niemczech codziennie 8 milionów młodzieży wychowuje się w szkołach w duchu, o którym żaden obywatel demokracji anglosaskich nie ma pojęcia, że z tego 4 i pół miliona jest w *Hitlerjugend*, że 21 milionów jest w *Arbeitsfront*, że tenże *Arbeitsfront* ma n.p. "tylko" 2 i pół miliona pracowników stałych, a gdzież jest jeszcze Gestapo i SS, w porównaniu z którymi wszystkie rzymskie gwardie pretorianów to były dziecinne zabawki.

Trzeba sobie powiedzieć wyraźnie, że Niemcy to jest zupełnie coś innego, niż wszystko cokolwiek reprezentuje świat anglosaski, że to jest zupełnie co innego, niż Europa z całą tysiącletnią tradycia, kulturą, sposobem życia, myślenia. Trzeba się nastawiać na to i tylko na to, żeby Niemców pobić—pobić w dosłownym tego słowa znaczeniu, wszystko inne to są pomocnicze środki, ale w rachubach nie należy im nawet 1/10 na zwycięstwo zapisywać.

Dobrze jest sobie to uświadomić, bo to jest ważne także i na okres po zakończeniu wojny. Jeżeli ktokolwiek w Anglii, czy w Ameryce /a ilu jest takich!/ liczy, że po klęsce od razu znajdzie się w Niemczech elementy do konstruktywnej pracy, do współpracy z Europą—to się myli. Ale niestety tak trudno o tym przekonać i charakterystyczne jest że Vansittart, który Niemców ocenia słusznie jest przecież podobno tak atakowany, że tyle trwa złudzeń co do Niemców a przynajmniej co do tego, że po usunięciu hitleryzmu od razu wyzwolą się jakieś dobre siły w Niemczech. Ale z czego? Czy z tych milionów młodzieży które wychowywane i jak wychowane w nacjonalsocjalistycznym duchu, w ogóle już nie wiedzą, co to jest wspólne wszystkim Europejczykom pojęcie moralności, honoru, sprawiedliwości?

Trzeba sobie znów powiedzieć, że to co się w Niemczech stało, to nie był mechaniczny przewrót polegający na objęciu władzy przez jedną, na wszystko zdecydowaną partię dla osiągnięcia jakiegoś celu, choćby to było panowanie nad światem.

Nie, tam się dokonał olbrzymi przewrót moralny, społeczny, państwowy, narzucony wszystkimi możliwymi sposobami /i kto w Niemczech nie przeżył choć jednego roku nie może mieć o tym żadnego pojęcia/. Ten przewrót nie tylko nawiązał do wszystkich najgorszych tradycji niemieckich, pruskich, protestanckich /Niemcy zawsze a przynajmniej w ostatnim stuleciu "protestowały" w stosunku do całej pozostałej Europy/, ale miał na celu zasadnicze przeobrażenie duszy niemieckiej w ciągu kilku lat i napewno osiągnął więcej, niż osiągnięto w czasie od Bismarcka do wojny światowej. Trzeba sobie uświadomić, że w Niemczech miliony i to olbrzymie miliony conajmniej młodzieży czuje inaczej, niż każdy Europejczyk, myśli inaczej niż każdy Europejczyk, że dla nich honor Europejczyka jest godny pogardy, dla nich sprawiedliwość Europejczyka, to babska słabość, dla nich cnota Europejczyka to żydowski wymysł żydowskiego Chrystusa, dla nich miłość to coś, pod czym niczego nie mogą sobie wyobrazić.

Na czym więc biskup Temple chce budować nowe Niemcy, na czym opierają swoje nadzieje wszyscy jemu podobni, gdzie chcą szukać tych nowych Niemców? W kościołach? Ależ protestanci wydali tylko jednego człowieka charakteru a katolicy współpracowali z hitlerowcami nad odbieraniem ludności polskiej języka ojczystego w kościele. Na emigracji—ale przecież oni wszyscy, czy się nazywają Rauschnig, czy inaczej, stracili zupełnie łączność z Niemcami, a poza tym pokazali, że w ciągu 1918 do 1935 nie potrafili w Niemczech nic zrobić i to po spadku wilhelmowskim, więc jakże, teraz po hitlerowskim dziedzictwie będą lepsi?—nie mówiąc o tych, którzy zagranicą siedzą tylko jako piąta kolumna pohitlerowskich Niemiec, a którzy w istocie rzeczy, nie różnią się w celach od hitlerowców.

Trzeba Niemców pobić i to pobić zdecydowanie, bez reszty, *auf die Knie zwingen*, jak oni sami mówią /tak też zresztą tylko Niemiec potrafi o przeciwniku powiedzieć/. Trzeba przyjść do Niemiec z okupacją i to z tym, że na hitlerowskich gruzach nie znajdzie się nic i że trzeba będzie mieć program okupacji—jaki nie wiem, to jest wielkie zagadnienie. Ale lepiej się nie łudzić, że hitleryzm to tylko powłoka, wręcz przeciwnie, wszystkie przemiany, które obecnie w Niemczech zachodzą, czy będą zachodzić, to tylko przemiany mechaniczne, które mają jedynie i wyłącznie na celu uratować Niemcy, pozwolić im wyjść z tej wojny z honorem i możliwie ze wszystkimi zdobyczami. Tam nie ma nikogo, kto by chciał szczerze współpracować z Europą—po europejsku. Czemuż to obecnie nawet komuniści w Niemczech w propagandzie swojej mówią o zatrzymaniu hitlerowskich zdobyczy? Tak mi się przypomina *Herr Reichsinnenminister* Grzesiński, który jeszcze przed Hitlerem mówił: dopóki Polska nie odda Pomorza i Poznańskiego nie ma mowy o żadnych uprawnieniach dla ludności polskiej w Niemczech. A Grzesiński był socjalistą!

Myślę, że to jest jedna z dziedzin, w której Polacy na emigracji mogą odegrać dużą rolę—propagowanie realnego poglądu na Niemcy. Zresztą w ogóle zrobić możemy bardzo wiele i dzięki Bogu, że nie ograniczamy się tylko do mackiewiczowskiego gadania, ale robimy sporo. Mamy na to dane pierwszorzędne — byliśmy pierwsi, którzy oparli się Niemcom i jesteśmy jedyni na kontynecie, którzy w żaden sposób z nimi nie współpracujemy. Nasza pozycja moralna w tej wojnie jest pierwszorzędna i jest i musi być uznawana a to ma także politycznie wielkie znaczenie. Oczywiście byłoby lepiej gdybyśmy wszyscy pracowali zgodnie, choć to przecież wcale nie oznacza uniformizowania. Można jedną melodię śpiewać nawet na więcej niż cztery głosy. Dla każdego, kto śpiewać umie, możliwości odmian są prawie nieograniczone, chodzi tylko o to, żeby nie fałszować, żeby nie schodzić z tej drogi, która jedynie zapewnia harmonijny ciąg, bo inaczej to są zgrzyty, które psują i szkodzą.

POLAK Z NIEMIEC

rys. Jan Poliński



Zwycięstwo Gandhi'ego?

Gandhi zwyciężył. Kongres hinduski postanowił, że w razie napaści japońskiej zajmie stanowisko *"non-violent non-cooperation,"* to znaczy, że nie będzie w żadnej mierze współpracował z Japończykami, że będzie bojkotował wszystkie zarządzenia japońskie, ale nie będzie stawiał czynnego oporu japońskiej agresji. Gandhi nie jest co prawda wynalazc- tej zasady. Pochodzi ona wprost od tołstojowskiego "niesprzeciwiania się złu," a ma za sobą powagę i niektórych wypowiedzeń Ewangelii i buddyzmu, ale Gandhi jest pierwszym, który zasadę tę wprowadził w życie, jako metodę akcji politycznej.

"Non-violent non-cooperation" była już stosowana w Indiach przeciwko rządom angielskim i przed wojną i w czasie wojny. Z chwilą jednak, gdy zaczęły się rozmowy Sir Stafford Crippsa z przywódcami indyjskimi, Gandhi wycofał się z przywództwa Kongresu, albowiem jedynie nieliczna garstka z Patelem na czele pozostała mu wierna, większość zaś Kongresu pod przywództwem Jawaharla Nehru była gotowa do podjęcia odpowiedzialności za zbrojny opór Indii przeciw agresji japońskiej.

To więc, że Kongres powrócił dzisiaj na ewangeliczne stanowisko Gandhi'ego, że Gandhi stanie się może znowu istotnym wodzem Kongresu jest miarą bankructwa akcji Cripps'a. Bankructwa tragicznego w klasycznym tego słowa znaczeniu. Przyczyną jego bowiem nie jest wina żadnej ze stron, które dyskutowały w Indiach, nie jest niechęć do porozumienia się ani ze strony Cripps'a ani ze strony Nehru, ale Nemesis historyczna, winy dawne i dawne błędy, które nie pozwoliły na rozwiązanie wielu węzłów.

Nie ulega wątpliwości, że oferta angielska była daleko idąca i szczera. Indiom—na czas po skończeniu wojny—ofiarowano niepodległość, niepodległość idącą tak daleko, że dopuszczono możliwość wyjścia Indji z Brytyjskiego *Commonwealth*. I nie ulega również kwestii, że te zastrzeżenia, które znalazły się w projekcie angielskim, były zasadniczo usprawiedliwione.

Dając niepodległość Indiom, Anglia nie mogła przejść do porządku dziennego nad ruchem muzułmańskim, domagającym się podziału Indji na państwo indyjskie i państwo muzułmańskie — Pakistan. Prawda, że Kongres twierdzi i nie bez słuszności, że więcej muzułmanów należy do partii Kongresu, niż do Ligi Muzułmańskiej, która żąda Pakistanu /obecny prezes Kongresu Azad, jest duchownym muzułmańskim/. Ale żądanie angielskie, żeby prowincje muzułmańskie mogły w głosowaniu wypowiedzieć się czy chcą pozostać w związku ogólno-indyjskim, czy też nie, było napewno usprawiedliwione, gdyż nie przesądzało niczego.

Tak samo nie mógł rząd Wielkiej Brytanii wprost przekreślić istnienia udzielnych państw indyjskich. Tym bardziej, że większość wojsk indyjskich to muzułmanie, większość książąt wydatnie popiera wysiłek wojenny. Z drugiej strony Kongres jako stronnictwo demokratyczne nie mógł się zgodzić na to, by w imieniu ludności księstw przemawiali tylko ich władcy, sama zaś ludność pozbawiona była głosu.

Najtrudniejszą sprawą jednak okazała się kwestia przekazania władzy już teraz. Rząd angielski słusznie twierdził, że wobec niemożności przeprowadzenia wyborów, wobec sprzeczności interesów pomiędzy różnymi elementami indyjskimi, wobec wreszcie warunków wojennych niepodobna myśleć o powołaniu już dziś zupełnie samodzielnego rządu w Indiach i ograniczyć wicekróla do roli monarchy nieodpowiedzialnego.

Z drugiej zaś strony trudno się dziwić przywódcom Kongresu, gdy wskazywali na to, że jedynie rząd w pełni odpowiedzialny może istotnie lud indyjski zmobilizować. Trudno się dziwić, że uważali, że sama *obietnica* pełnej niepodległości jest niewystarczająca. Faktem jest, że obietnice dane w wojnie 1914-1918, gdy Kongres stanął całkowicie po stronie Wielkiej Brytanii zostały niedotrzymane. I faktem jest niestety, że zarówno sam Winston Churchill, jak i minister dla Indii Amery należeli do tej mniejszości 40 posłów, którzy lat temu kilka walczyli do upadłego, by Indie nie otrzymały nawet tego skromego samorządu, który posiadają dzisiaj.

Tej wzajemnej nieufności nie mógł przezwyciężyć Sir Stafford, choć osobiście walczył zawsze o wolność Indii i choć z przywódcami Kongresu był w przyjaźni. Z drugiej strony fakt, że to właśnie Sir Stafford Cripps nie mógł się dogadać dowodzi, że Wielka Brytania istotnie poszła do ostatecznych granic kompromisu.

Czy jednak istotnie nie ma wyjścia z sytuacji? Czy decyzja *"non-violent non-cooperation"* jest istotnie ostatnim słowem? Mimo wszystko nie chce się w to wierzyć. Są elementy w Indiach, które będą dążyły do wyjścia z ślepej ulicy. Takim elementem są oczywiście liberałowie hinduscy, sto-cy poza Kongresem. Są to osobiście bardzo wybitni ludzie, ale wpływ ich na masy jest niewielki. W łonie samego Kongresu były premier prowincji Madrasu, Rajagapolachari, wypowiedział się przeciwko polityce Gandhi'ego i poszedł nawet tak daleko, że żądał uznania zasady Pakistanu. Znalazł bardzo niewielu zwolenników, ale jego wystąpienie jest tym nie mniej znamienne.

Przede wszystkim jednak sam Nehru napewno nie jest zadowolony z obecnej sytuacji i nie uważa jej za ostateczną. Nehru z pasją nawoływał do zbrojnego przeciwstawienia się inwazji japońskiej-nawoływał do tego zbrojnego wysiłku już po zerwaniu rokowań z Sir Stafford Crippsem. Dzisiaj znowu podporządkował się Gandhiemu, ale z chwilą, gdy Indie staną oko w oko z niebezpieczeństwem, zasada: "niesprzeciwiania się złu" napewno mu nie wystarczy. Nehru całą swą duszą nienawidzi faszyzmu. Jest lewym socjalistą /nie komunistą, jak to się zbyt łatwo mówi/. Nie krył się nigdy z tym—nawet gdy siedział w więzieniu angielskim—że wynik wojny nie jest dla niego obojętny. że pragnie zwycięstwa demokracji. Dzisiaj, gdy z Wielką Brytanią sprzymierzone są Chiny i Rosja, Nehru napewno pała żądzą wzięcia udziału w walce.

Sir Stafford Cripps, powiedział po powrocie, że każdy koniec w historii jest jednocześnie początkiem i stwierdził, że jego podróż nie poszła całkowicie na marne.

Trzeba mieć nadzieję, że się nie pomylił.

CZESŁAW POZNAŃSKI

NIE CHCĘ POWROTU

Nie jestem gotów.
Jeszcze za krótka jest droga;
Jeszcze nie czuję jej w nogach
—Nie chcę powrotu.

Jeszcze me serce
Nie przecierpiało tak wiele
I niedopity jest kielich
—Gorycz w manierce.

Jeszcze me ciało
Nietknięte jest i spokojne,
Bo jeszcze ma strasznej wojny
W sobie za mało.

Boże! Najprędzej
Obdarz wolnością jak złotem,
Ale nam drogi powrotu
Poplącz jak przędzę.

Bo z czym wrócimy?
Z niejasną myślą i z kłótnią?
Ciż sami—łapczywe trutnie
—Śmieszni pielgrzymi?

I z czym staniemy
Przed Kraju jasnym ołtarzem,
Przed sił niezłomnych Włodarzem
Na świętej Ziemi?

Boże, co liczysz
Zygzaki naszej marszruty,
W kolczaste je spowij druty
I smagaj biczem!

Niech ból nas zmieni—
Niech pychę pokora zdławi,
Niech zgroza wywlecze na wierzch
Nasze sumienie.

O, Boże, wtenczas
Wróć nas z bitewnej oddali,
Gdy w każdym sercu zapalisz
Cudów Twych tęczę.

W ojczystych leży
Staniemy otwartej bramie—
Z rzewnymi na oczach łzami
—Wierni żołnierze.

EUGENIUSZ ROMAN

Szkic sytuacyjny

MADAGASKAR I MARTYNIKA

Doniesienia z Madagaskaru nie są na tyle jasne i wyraźne, ażeby można sobie wytworzyć pełny obraz sytuacji. Wiemy, że baza morska Diego Suarez została zajęta, ale nie wiemy czy istnieje jakiś opór na ogromnych obszarach wyspy. Wydaje się, że Anglicy zajmują spokojnie miasto po mieście i port po porcie, ale na razie milczą na ten temat—zapewne słusznie—uważając, że dopóki nie będą mieli całej wyspy w swoich rękach, lepiej nie mówić zawiele na ten temat.

Wnioskować by należało, że *garnizony brytyjskie na wyspie są stale zasilane*. Nie należy bowiem sądzić, ażeby Japonia łatwo zrezygnowała z madagaskarskiego kąska. Przeciwnie, sądzić trzeba, że Japonia poczyni próby, ażeby odbić Madagaskar, ale na razie woli siedzieć cicho—albowiem nie posiada odpowiednich baz do ataku. Najbliższą bazą byłaby Birma, czy Malaje.

Stany Zjd. wykazują, że ich *sposoby dyplomacji są jednak giętkie*. Waszyngton przeprowadza rozmowy wprost z wysokim komisarzem francuskim na Martynice, admirałem Robert, nie zwracając uwagi na rząd w Vichy. Protesty, jakie składa imieniem rządu Lavala ambasador francuski w Waszyngtonie, na Cordell Hull'u nie robią większego wrażenia. Rokowania toczą się dalej, przyczem admirał Robert ma ochotę dogadać się z Amerykanami. Ameryce idzie o unieruchomienie dwóch krążowników francuskich, "Emile Bertin" i "Jeanne d'Arc" oraz lotniskowca "Béarn." Są to wszystko jednostki bardzo nowoczesne i w razie przejścia do akcji albo owładnięcia przez nieprzyjaciela, nader groźne. Nic dziwnego, że Ameryce zależy na tym, ażeby jednostki te zostały unieruchomione. Na Oceanie Spokojnym każdy okręt wojenny liczy się teraz, nie można pozwolić na to, ażeby marynarka japońska, która dalej rządzi się nadmiernie na wodach Pacyfiku, zasilona została tak nowoczesnymi okrętami nawodnymi.

Martynika zaś stanowi zbyt łakomy kąsek, podobnie jak Madagaskar. *Imperium Francuskie*—trzeba to powiedzieć sobie otwarcie—*nie wykazuje nadmiernej ochoty samoobrony*. Przykład Indochin, które Francja zbyt łatwo puściła Japończykom w arendę, działa na sojuszników jak groźne ostrzeżenie.

Admirał Darlan usiłuje bruździć w tej całej sprawie i wydaje srogie rozkazy: zatopić okręty. Nie wiadomo, czy władze francuskie na Martynice usłuchają tych rozkazów. Sądzić należy, że *usłuchają one głosu zdrowego rozsądku*, który powiada, że Vichy nie posiada odpowiednich środków nacisku, że Vichy jest daleko a Ameryka blisko i że marynarze francuscy nie mają ochoty bić się w obronie—Japończyków.

Jasne jest dzisiaj, że skoro Imperium Francuskie znajduje się w stanie bezwładu, trzeba wyjmować z rąk obezwładnionej Francji najcenniejsze klejnoty jej Imperium Kolonialnego. Inaczej bowiem—rozkradną je żółci złodzieje.

OFENSYWA NA WSCHODZIE ZACZĘŁA SIĘ?

Uderzenie niemieckie na półwysep kerczański nosi wszelkie cechy początku ofensywy. W danej chwili obraz położenia nie jest całkowicie jasny. Doniesienia, jakie mamy przed sobą w chwili pisania tych uwa- powiadają, że wojska niemieckie wkroczyły do miasta i że trwają tam walki uliczne. Vichy powiada, że cytadela i twierdza bronią się. Berlin głosi—oczywiście—że akcja na Kerczu jest zakończona.

Wszyscy przypuszczali, że jeżeli Niemcy przejdą do ofensywy, to *uderzenie to zacznie się od południa*. Przemawiają za tym dwa względy: stan terenu, lepsza pogoda aniżeli na północy a wreszcie i to, że cel ataku: ropa kaukaska jest najpilniejszym niejako obiektem.

Timoszenko, który jest doskonałym dowódcą, zrozumiał wagę uderzenia niemieckiego i sparował cios przez marsz ku Charkowowi. Nie wiemy jakie odniósł tutaj sukcesy. Niektóre doniesienia powiadają, że wojska jego znajdują się na przedmieściach Charkowa. Gdyby tak było, to Niemcy mają przed sobą zadanie niełatwe. Tylko bowiem uderzenie od północy, właśnie na Charków, zagraża pochodowi poza Rostów i próbie przerzucenia się z Kerczu na Kaukaz.

Pomiędzy dowódcą niemieckim na Kerczu—czy jest nim generał Manstein czy też działa tam już Rommel, nie wiemy w danej chwili—a Timoszenką odbywa się wyścig nielada. Pierwszy chce najszybciej przeskoczyć na Kaukaz, drugi wysunąć się poza Charków. W ciągu dwóch czy trzech tygodni zobaczymy, kto wyścig wygrał.

Ambasador sowiecki w Ankarze powiedział—jak donoszą źródła br--iskie—ministrowi spraw zagranicznych Turcji, że Rosja uważa uderzenie na Kaukaz przez Kercz *za początek zapowiadanej ofensywy niemieckiej*. Rosja staje do ofensywy silniejsza pod pewnymi względami aniżeli w lecie ub. r. Czynnik niespodzianki oraz zaskoczenia już dzisiaj nie istnieje. Nawet jeżeli uderzenie niemieckie na Krymie ma na celu zmylenie tropu i dopiero za czas jakiś przyjdzie *istotny cios*—to jednak armia sowiecka zna już gruntownie przeciwnika, jego sposoby i chwyty. Ma ona z sobą 60 procent swojego przemysłu wojennego, który nie próżnował przecież w czasie zimy. Najlepsze wojska sowieckie czekają na akcję: niedawno doskonały znawca niemiecki, Otton Mossdorf przyznał w prasie niemieckiej, że złudzeniem były opowiadania, iż złamano trzon armii sowieckiej i że w gruncie rzeczy *"zniszczono tylko obwód zewnętrzny armii."* Mossdorf jasno i trzeźwo daje do zrozumienia społeczeństwu niemieckiemu, że propaganda oraz komunikaty z fanfarami dra Dietricha, szefa prasy niemieckiej, były—co tu obwijać w bawełnę—*dęte*.

REICHSWEHRA I POŁOŻENIE ŻYWNOŚCIOWE RZESZY

Reichswehra jest obecnie w osobliwym położeniu. Uderza ona na froncie, ale naczelne dowództwo spoczywa w rękach Hitlera. Usunęła się zatem jakby Reichswehra od bezpośredniej odpowiedzialności za losy kampanii na Wschodzie i za całość prowadzenia wojny.

Hitler ma do pokazania co umie: jeżeli do jesieni nie zdobędzie tych sukcesów, o których marzy, to wtedy—Reichwehra stanie się twardsza w pysku. *Zima przyniesie rozgrywki wewnętrzne*, których doniosłości nie sposób jeszcze teraz przewidzieć. Reichwehra jednak—jak to słusznie powiedziano—składa się *z trzeźwych rachmistrzów a nie bohaterów, którzy chcą umierać*. Jeżeli zatem Reichswehra przekona się, że rozgrywka w Rosji się nie udała i że nie ma mowy o wygraniu wojny na ten czy na inny sposób, *będzie ona szukać niewątpliwie sposobów i dróg—pokojowych*.

Położenie żywnościowe Rzeszy będzie tu grało doniosłą rolę. Poważni obserwatorzy zgadzają się w sądzie, że *dopiero na wiosnę r. 1943 w Rzeszy pojawi się głód*. Zbiory zboża i ziemniaków były kiepskie. Rzesza liczyła na kontyngenty z Bałkanów, ale zawiodły one: w Jugosławii była wojna, w Rumunii chłopi poszli się bić, na Węgrzech zbyt wiele ludzi oderwano od roli. Na Ukrainie Rzesza nie pożywiła się wiele i nie pożywi: gospodarka rolna na tych obszarach była zmotoryzowana i zmechanizowana i brak traktorów kładzie eksploatację ziemi. Rzesza nie wie, jak sobie poradzić.

Kłopoty niemieckie nie ograniczają się tylko do roli. Jak ciekawie wywodzi "Times" z dnia 16-ego maja na obszarach rosyjskich lokomotywy niemieckie nie mogą sobie dać rady. Są za ciężkie, gatunek wody do kotłów nieodpowiedni /w Rzeszy jest miększa woda/, tory również. W tych warunkach koleje niemieckie znajdują się w ciężkich opałach.

Wysiłek, jaki Rzesza będzie musiała podjąć w tym roku jest dosłownie olbrzymi.

"WIDAĆ JUŻ GRAŃ"

Churchill przemawiał dwukrotnie: po raz pierwszy z okazji dwulecia swojego premierostwa, dnia 16-ego maja w Leeds. Przemówienie radiowe dnia 10-ego maja *pełne było tonu ufności*. Podobnie przemówienie w Leeds. Churchill, który nie posiada na sumieniu winy omamiania własnych obywateli i opowiadania im wygodnych optymizmów, ale rozpoczął swoje działanie od obietnicy *"trudu, łez i znoju,"* mówi dzisiaj, że jednak *"widoczna jest już grań"* i że na budowli Rzeszy pojawiają się rysy.

W rachubach Churchilla nie widzimy żadnych istotnych zasadniczych zmian. Sądzi on, że wojna przewlecze się przez r. 1942 i że *dopiero w r.* 1943 *będziemy widzieć szlak zwycięstwa*. Nie obiecuje, że wojna zakończy się akurat w r. 1943, albowiem tego rodzaju proroctwa nie leżą w możliwościach ludzkiego umysłu. Zadaniem męża stanu nie jest prorokowanie—od tego są *szamani-Fuehrerzy*—ale wskazywać szlaki zwycięstwa, logicznie gromadzić dane i fakty i kazać słuchaczowi wyciągać samemu wnioski.

Naród angielski sądzi, że "grań jest widoczna," ale wie, że *ostatnie odcinki dróg górskich są najtrudniejsze* i że wiele na nich nieraz czyha niespodzianek. Anglicy wydali zbyt wielu wybitnych alpinistów i szturmowali zbyt wiele szczytów najwyższych w świecie, ażeby nie znać tej prawdy wiadomej każdemu alpiniście. Granie szczytowe w Himalajach okazywały się nieraz diablo ciężkie—a wojna dzisiejsza jest doprawdy na miarę *szturmu na Everest*.

Londyn, 17 maja 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Na szlaku Brygady Karpackiej



Generał Stanisław Kopański

—"W wędrówce naszej poprzez Syrię, Palestynę i Egipt—w długich miesiącach walk na Pustyni Libijskiej, w obronie Tobruku, pod Gazalą, pod Bardią, spełnialiśmy tylko nasz obowiązek—tak jak codziennie spełniają go nasi lotnicy i marynarze."—W tym jednym zdaniu wypowiedzianym w przemówieniu radiowym do Kraju, zamknął generał Kopański całą dotychczasową historię Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Gdy wymawiał te słowa, głos jego był równy i spokojny, tylko wyraźna bruzda na czole świadczyła o dużym skupieniu. Generał zawsze mówi spokojnie—ale każde zdanie wypowiada w sposób zdecydowanv, niemal stanowczo. Nigdy nie podnosi głosu i tak samo wydaje rozkazy, jak rozmawia—spokojnie, bardzo uprzejmie, ale stanowczo.

Średniego wzrostu, 47-letni Dowódca Brygady Karpackiej jest z żołnierskiego "urodzenia" artylerzystą konnym. W wojnie polsko- bolszewickiej dowodził baterią 1 dywizjonu artylerii konnej. W czasie walki 20 kwietnia 1919 roku był ranny w ramię i w oko. Od tego czasu posiada jedno szklane oko, tak jednak trudne do odróżnienia, że szereg osób po dłuższej nawet rozmowie nie może tego rozpoznać.

Od 1919 roku studiuje jako kapitan na Politechnice Warszawskiej, gdzie uzyskuje dyplom inżyniera dróg i mostów. W 1925 roku kończy francuską aplikacyjną szkołę artylerii w Fontainebleau, a kilka lat później *Ecole Superieure de Guerre* w Paryżu. W 1938 roku jest dowódcą 1 pułku artylerii motorowej, a w marcu 1939 roku zostaje mianowany w stopniu pułkownika Szefem Oddziału III /operacyjny/ w Sztabie Głównym.

Wybucha wojna . . . Po krwawej kampanii wrześniowej Wojsko Polskie odradza się na terenie Francji, ale nie wszyscy mogą do niej dojechać. Część udaje się do Grecji, do Turcji, do Palestyny i do Syrii. Istnieją możliwości stworzenia tam wielkiej polskiej jednostki.

Na skutek decyzji Naczelnego Wodza powziętej na podstawie umowy polsko-francuskiej ze stycznia 1940 roku, już w pięć miesięcy później organizuje się na terenie Syrii Polska Brygada. Dowódcą jej zostaje początkowo pułkownik, a późniejszy generał Stanisław Kopański. Nowy brygadier był zaledwie rok pułkownikiem.

Dzieje się to jednak dosłownie w przededniu upadku Francji. Nadchodzi 17 czerwca i kapitulacja. Stanowisko oddziałów francuskich w Syrii jest początkowo niewyraźne, później przechyla się na stronę rządu Vichy. Generał Kopański pobiera natychmiast decyzje przesunięcia Brygady na teren mandatu brytyjskiego do Palestyny, przeciwstawia się jednak temu ówczesny dowódca wojsk Lewantu gen. Mittelhauser. W zakończeniu ostrej rozmowy generał Kopański oświadcza spokojnie, ale jak zawsze stanowczo: "Brygada przejdzie do Palestyny i z bronią." —I . . . w końcu czerwca Brygada przechodzi koleją, samochodami i marszem pieszym do Palestyny i z bronią.

Okres pobytu w Palestynie, to przezbrojenie, przeorganizowanie się, otrzymanie sztandarów—no i słynne "uzupełnienie" /"P.K.U.-Betlejem"/.

W październiku 1940 roku przesunięto Brygadę do Egiptu na odcinek obronny na zachód od Aleksandrii, a w kwietniu 1941 roku zarządzono jej przerzucenie do Grecji. Część oddziałów była już załadowana, gdy nadszedł rozkaz pozostania na miejscu. Grecja padła . . .

W maju na nowy odcinek do Mersa Matruh, a 19 sierpnia do Tobruku. Opowiadając o transporcie do tej odciętej twierdzy generał Kopański zaznacza, że nie była to operacja ani prosta ani łatwa. Trzeba było czekać na nadejście ciemnych, bezksiężycowych nocy, których jest w tym okresie roku tylko jedenaście. W ciągu tych jedenastu nocy przewożono masę sprzętu i ludzi. To też zabierano na pokłady rzeczy najniezbędniejsze. Wszyscy żołnierze łącznie z generałem mieli tylko to, co na sobie i w plecaku.

Żołnierze australijscy, których właśnie Polacy zmieniali, dziwili się niepomiernie—"Co, macie tylko shorty i te koszulki? A w czym będziecie spali w czasie zimnych nocy?" Wysoki, opalony na bronz z bujną czupryną Australijczyk zwrócił się do swych kolegów:—"Hallo boys! Patrzcie, Polacy przyjechali żeby nas zmienić i nie mają ciepłych spodni do spania!" Nie czekając jaki będzie skutek tej krótkiej przemowy wyjął z plecaka swoje spodnie i podał pierwszemu z brzegu żołnierzowi polskiemu—za nim to samo drugi . . . trzeci i tak cała gromada. Doszło do tego, że wielu Australijczyków, którzy w momencie ładowania mieli ciepłe spodnie na sobie, oddało samorzutnie te spodnie Polakom, a na pokładzie okrętu znaleźli się dosłownie w . . . "niewymownych." Jak mówi Szef Sztabu generała:—"Tak na oko licząc około 800 par spodni zmieniło właścicieli."

Zaczął się długi okres pobytu w twierdzy tobruckiej. Na początku października Brygada zluzowała brygadę australijską na odcinku zachodnim zwanym "wyłomem" i tu pozostała bez przerwy 10 tygodni w pierwszej linii. Dotychczasowy rekord wynosił 5 tygodni, a normalny okres zmiany 3 tygodnie.

Naprzeciwko na połowie odcinka znajdowali się Niemcy, a na połowie Włosi. Polacy mieli cały czas bezpośrednią styczność z nieprzyjacielem.

Przybycie Naczelnego Wodza było dla Brygady niespodzianką. Witano go tak "hałaśliwie," że jak zeznali jeńcy włoscy, myślano że to rozpoczyna się ofensywa Aliantów.

Nastrój wśród żołnierzy Brygady opisał w wywiadzie z generałem Kopańskim znany dziennikarz brytyjski George Slocombe:

"Ci wesoło, młodzieńczo i zawzięcie wyglądający weterani, przyodziani w różnorodne mundury, uzbrojeni w przedziwnie dobraną broń, mówiący żargonem, który jest mieszaniną polskiego i australijskiej angielszczyzny—miotający przekleństwa w wielu językach, walczący w klimacie i terenie zupełnie odmiennym od ich własnego—byli najszczęśliwszymi ludźmi w Afryce, ponieważ z drugiej strony drutów znajdowali się ich śmiertelni wrogowie, a każdy wystrzelony pocisk, rzucony granat niósł w sobie część zemsty za ich umęczony kraj."

A w innym miejscu ten sam dziennikarz pisze: "Walczyli zawzięcie, odosobnieni w swoich okopach i ziemiankach, na krawędzi przemiatanej ogniem artyleryjskim i stale zakurzonej równiny, na której ukazanie się za dnia równało się śmierci."

Zapytany o wartość oddziałów niemieckich i włoskich generał Kopański mówi:

"Niemiecki żołnierz w oddziałach pancernych bardzo dobry, ale piechota raczej słaba. Włosi bili się dobrze—nie są oni wcale tacy źli, jak się często mówi. Muszę jednak dodać, że są fałszywi. Kilkakrotnie zdarzało się, że podnoszą ręce do góry niby poddając się, a przy podejściu bliżej otwierają ogień. Co do gen. Rommla, to dopiero tutaj w Londynie dowiedziałem się o jego wielkiej sławie. Jest to młody i energiczny dowódca, ale mam wrażenie, że nie jest geniuszem, jak to sobie wielu wyobraża. Jeńcy niemieccy wielokrotnie zeznawali, że ich dowódca jest bezwzględny dla podwładnych i nie oszczędza ludzi."

W czasie obrony Tobruku podlegał generałowi Kopańskiemu jeden batalion angielski, część batalionu australijskiego i batalion czeski. Koleżeństwo wśród oddziałów było doskonałe a serdeczność zwłaszcza Australijczyków niemal wzruszająca.

Polacy wzbudzali ogólny podziw rozmaitością posiadanego uzbrojenia. Mieli pistolety francuskie, karabiny angielskie, włoskie i niemieckie, działa włoskie i jakieś zdobyte również na Niemcach holenderskie działka ppanc, a nawet polską szablę kawaleryjską odebraną Niemcom, która stanowi obecnie maskotę pułku polskiej kawalerii.

Jedzenie było mało urozmaicone. Whisky i piwa zupełnie brak. Wody słodkiej bardzo mało. Żywność przeważnie z puszek, brak witamin, wobec czego pod koniec pobytu zdarzały się nierzadko wypadki szkorbutu. Pierwsze linie były wysunięte znacznie do przodu, tak po stronie aliantów jak i po stronie przeciwników. Na dwie godziny przed zachodem słońca przerywano zazwyczaj ogień i donoszono żywność do wysuniętych stanowisk. Po prostu strzelano białą rakietę w górę i na dwie godziny było zawieszenie broni.

—"Czy Niemcy to zawsze respektowali?"

—"Musieli—bo inaczej jedna i druga strona umarłaby z głodu."

Z chwilą rozpoczęcia ofensywy brytyjskiej /18.XI./ część załogi dokonała wypadu w kierunku wschodnim /dla zmylenia przeciwnika/, a następnie cała załoga wyruszyła do natarcia w kierunku zachodnim.

Pod El Gazalą Brygada wykonała słynne uderzenie czołowe na stałe, umocnione i silnie obsadzone stanowiska nieprzyjaciela i przełamała je w sposób decydujący o dalszym przebiegu operacji w tej części Libii. W wyniku tego natarcia zdobyto kilkadziesiąt ciężkich dział, przeszło 100 karabinów maszynowych i wzięto do niewoli około 1,750 jeńców. Straty własne wyniosły około stu kilkudziesięciu zabitych. Ciała poległych złożono na cmentarzu wojennym w Tobruku obok tych, którzy zginęli w czasie obrony tej twierdzy.

W międzyczasie karpacki pułk artylerii brał udział w zdobyciu Bardii, gdzie natężenie ognia było tak duże, że w pierwszym dniu wystrzelono po 300 pocisków na działo. Jedna z celnych salw polskiej artylerii zapaliła nieprzyjacielskie zbiorniki z benzyną.

W czasie wielu walk, starć i potyczek, gdzie śmierć chodziła sobie swobodnie między walczącymi wybierając swoje ofiary według jej tylko znanego szyfru—było też sporo epizodów wesołych. Na przykład: kucharz wziął do niewoli włoskiego markiza; artyleria ze zdobytych na Włochach dział, których obsługę skompletowano z samych amatorów, strzelała bez żadnych prawideł, ale zato najskuteczniej, dowódca patrolu polskiego dostawszy się do niewoli włoskiej oświadczył, że "to jeszcze nie wieczór"—i . . . wieczorem wraz z innymi kolegami przyprowadził tych samych Włochów do niewoli polskiej i t.d.





Pod Gazalą

Zapytany o zasadnicze wrażenia co do nowoczesności tamtejszego pola walki generał Kopański oświadczył:

—"Lotnictwo odegrało dużą rolę, zwłaszcza przy współpracy z bronią pancerną, chociaż same bombardowania niemieckie były mało skuteczne. Jedyną rzeczą nową były miny stosowane przeciw czołgom i przeciw piechocie. Używano ich masowo w postaci wielu pól minowych."

Po ciężkich walkach na Pustyni Zachodniej Polacy walczyli w strażach tylnych przy odwrocie z pod Benghazi, a w lutym znaleźli się po raz drugi w Tobruku na swoim dawnym, dobrze znanym odcinku.

Obecnie dawna Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich przekształca się "gdzieś na Bliskim Wschodzie" w Dywizję. Tradycja bohaterskiej obrony Tobruku i wspaniałych walk na Pustyni Libijskiej będzie napewno cennym wkładem, jaki Brygada przekaże nowej wielkiej jednostce polskiej . . .

Anglia, Libia, Bliski Wschód i Rosja—to odległe od siebie tereny walk. Leżą one jakby na obwodzie dużego koła, którego wszystkie promienie przecinają się w jednym punkcie—"gdzieś w Polsce." My Polacy, widzimy tę Polskę w promieniach wolności i wszyscy do niej dążymy, a jak powiedział dowódca Brygady "Tobruckiej" na zakończenie swego przemówienia do Kraju:

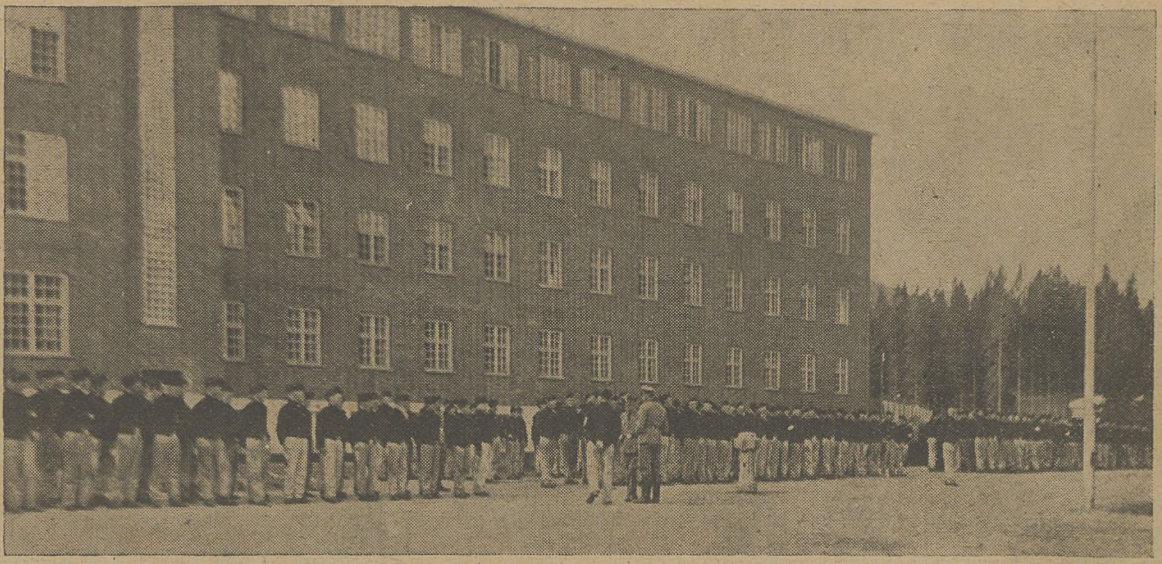
—"Najuroczystszym dniem będzie dla nas ten, gdy doprowadzeni przez Naczelnego Wodza staniemy z Wami we wspólnych szeregach. Duszą i sercem stoimy już w tych szeregach obecnie."

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

W imieniu żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich przesyłam za pośrednictwem "Polski Walczącej" serdeczne pozdrowienia wszystkim żołnierzom armii lądowej, marynarki i lotnictwa na terenie Wielkiej Brytanii

Kopański
D-ca SBSK. gen. bryg.

Polska i Norwegia



Naród norweski jest jednym z najbardziej uciskanych przez niemieckiego okupanta i jednym z tych, które toczą z nim nieubłaganą "wojnę cywilną" we wszystkich dziedzinach życia. Zdjęcie przedstawia obóz koncentracyjny w Grini koło Oslo.

Niniejszy artykuł, którym w sposób prosty, serdeczny, jak najdalszy od oficjalności pragniemy uczcić święto narodowe Norwegów, sprzymierzeńców i współtowarzyszy broni—wyszedł z pod pióra Norwega.

Magister Olav Rytter w czasach pokoju był przez pewien czas lektorem języka polskiego na uniwersytecie w Oslo i języka norweskiego w Warszawie, zna nasz kraj, liczy wśród nas wielu przyjaciół. Dziś, jak my, jest żołnierzem, niedawno otrzymał awans na podporucznika, a w obecnej chwili pełni funkcje zastępcy kierownika radia norweskiego.

Jak najserdeczniej gościmy go na łamach "Polski Walczącej."

W tym roku, święto narodowe Norwegii—dnia 17-go maja—obchodził naród prowadzący wojnę. Zasady tej wojny stanowią już tradycję dziejów Polski, ale dla nas Norwegów są zupełnie nowe: jest to walka moralna i duchowa w domu i walka z bronią w ręku na froncie poza granicami kraju, u boku tych państw, które przeciwstawiły się zbrojnie tyranii niemieckiej.

W takim dniu dobrze jest zatrzymać się na chwilę i przypomnieć sobie cele, o które walczymy: jest to przecież nasz dzień wolności i dzień naszej konstytucji. W dniu 17-go maja 1814 roku przedstawiciele kraju uprawomocnili konstytucję, która stała się podstawą demokratycznego rozwoju naszego narodu, jako narodu wolnego. W tym dniu nawiedzają nas myśli i uczucia pokrewne tym, które napełniają duszę każdego Polaka, gdy wspomina dzień polskiego święta narodowego, dzień 3-go maja. W ten sposób rocznice narodowe dwu różnych krajów tworzą więź uczuciową pomiędzy dwoma narodami, więź zacieśniającą się przez rzeczywistość historyczną i walkę o wspólną sprawę.

17-go maja 1814 roku był dniem wyzwalającym dążenia narodowe Norwegii. W wyniku tych dążeń kraj nasz wpierw uwolnił się od trwającej przez kilkaset lat wspólnoty z Danią a potem odbudował na nowo wolne królestwo norweskie, wywodzące się ze średniowiecza. Wojny napoleońskie, w których Dania i Norwegia brały udział po stronie Francji doprowadziły siłą faktów do pewnych rozstrzygnięć, ale były one zupełnie inne, aniżeli tego oczekiwano. Na początku roku 1814, w następstwie zawieszenia broni podpisanego w Kilonii, odstąpiono Norwegię jednemu ze zwycięzców—królowi szwedzkiemu Karolowi Janowi.

Ale Norwegowie—choć nie uzbrojeni—nie poto podjęli zaciętą walkę polityczną, gospodarczą i kulturalną z władcami duńskimi o swoją niepodległość, by znaleźć się wobec Szwecji w podobnym stosunku zależności. Ta arbitralna decyzja, którą powzięto bez pytania się co sami Norwegowie o niej myślą, została przez nich odrzucona z oburzeniem. Siły, które zebrały i zaprawiły się w walce w ciągu siedmiu lat wojny i doświadczeń skupiły się zgodnie w postanowieniu objęcia rządów własnego kraju.

W Eidsvoll zebrali się przedstawiciele całej Norwegii i najważniejszych warstw społeczeństwa krajowego: urzędnicy, kupcy i chłopi, aby rozstrzygnąć o losach kraju i uchwalić konstytucję niezależnej Norwegii. Dnia 17-go maja projekt był gotowy i jednogłośnie przyjęty. Była to jedna z najbardziej wzruszających chwil nowej historii Norwegii, gdy przedstawiciele narodu połączyli rece w "braterskim kole" i złożyli sobie nawzajem przyrzeczenie "jedności i wiary, póki stoją nasze góry."

Konstytucja 17-go maja wywodziła się z idei rewolucji francuskiej a natchnieniem jej była amerykańska deklaracja wolności. Była ona tak jak i polska konstytucja 3-go maja jedną z zapowiedzi nowego postępu w rozwoju narodowym i demokratycznym, którego Europa doświadczyła w ciągu XIX wieku.

Uchwalenie ustawy konstytucyjnej stanowiło akt jawnego buntu przeciw królowi szwedzkiemu. W konsekwencji doszło do krótkiej wojny między dwoma narodami, która zakończyła się umową—kompromisem. Król szwedzki musiał zatwierdzić konstytucję norweską i zgodzić się na oddzielny parlament norweski, a Norwegowie uznali króla szwedzkiego za głowę norwesko-szwedzkiej unii personalnej. Ten układ był później przedmiotem zaciętej walki politycznej między Norwegią i Szwecją aż do chwili, gdy dnia 7-go czerwca 1905 roku unię rozwiązano i na nowo ustanowiono wolne królestwo norweskie z obecnym królem Haakonem VII-ym.

O tę właśnie wolną Norwegię i nasza demokratyczną konstytucję dzisiaj walczymy. W walce tej cieszą się Norwegowie najgłębszą sympatią dwu pokrewnych narodów, Duńczyków i Szwedów. Wprawdzie musieliśmy wywalczać przeciwko nim naszą niepodległość polityczną, ale już dawno uznały one w nas równego partnera wolnej Skandynawii i życzą nam słowami poety:

"Aby Norwegia była wielką
znowu
Na lądzie, na morzu i w rodzinie
narodów."

Myślę, że większość Polaków, czytających o naszym dniu narodowym i o naszej walce o puściznę, którą po tym dniu objęliśmy—przypomni sobie niedawne dzieje własnego kraju. Nam Norwegom dane było szczęście budowania w pokoju przez sto dwadzieścia sześć lat na podwalinach stworzonych przez Konstytucję. Historia Polski w XIX-ym wieku pobiegła torem nieporównanie bardziej bolesnym. Tym większy jest nasz podziw dla Polaków, dla ich wytrwałej walki o wolność i zasady wyrażone w konstytucji 3-go maja, i dla wszystkiego, czego Polacy zdołali dokonać w czasie tego krótkiego okresu, w których było im dane żyć w wolnej i odrodzonej Polsce.

Norwegowie, którzy życie swoje oparli na ideałach wcielonych w Konstytucji 17-go maja i którzy życie swoje poświęcili w walce w obronie tej naszej "Magna Charta" ze szczególnym entuzjazmem śledzili walkę Polski o niepodległość w wieku XIX-ym. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje nasz wielki poeta Henryk Wergeland, żyjący w pierwszej połowie XIX-go wieku, który tłomaczył wiersze Mickiewicza i innych polskich poetów i który do głębi przejął się walką Polaków. To samo można powiedzieć o współczesnym mu pisarzu Welhavenie a później o dwu wielkich poetach Ibsenie i Björnsonie. Dla wielu pokoleń pojęcie Polaka było jednoznaczne z pojęciem poświęcenia dla ojczyzny i gorącego pragnienia wolności.

Z prozy i poezji tych czasów dochodzą nas echa gromadnych zebrań i manifestacji na rzecz sprawy polskiej. Obecny przedstawiciel Polski przy naszym rządzie minister Neumann zestawił cały tom z utworów, które są wyrazem tej norweskiej sympatii dla sprawy polskiej. Książka ta, której tytuł brzmi: "Za naszą wolność i waszą" jest jednym wielkim świadectwem polsko-norweskiego porozumienia. Jest ona dowodem, że jeżeli walczymy dzisiaj ramię przy ramieniu z Polakami, naszymi sprzymierzeńcami, to jest to naprawdę "*Alliance Cordiale*," związek serca, związek, którego korzenie sięgają daleko w głąb norweskiej tradycji.

Polska twórczość literacka zwłaszcza Sienkiewicza i Reymonta jest dobrze znana w Norwegii a muzyka polska dodała koloru naszym wyobrażeniom o Polakach. Odbudowę wolnej Polski powitano w Norwegii z zapałem, uważano to za jeden z naprawdę dodatnich wyników ostatniej wojny światowej i za zwycięstwo zasad odwiecznej sprawiedliwości, w którą człowiek, mimo wszelkich nieszczęść i ucisku, nigdy nie przestanie wierzyć.

Polacy prowadzą znowu walkę na śmierć i życie o swoją wolność i znowu ta walka opiera się na tradycyjnych zasadach zaciętego oporu w domu, "wojny cywilnej" przeciwko barbarzyńcom niemieckim i znowu powiewa sztandar wojsk polskich na wszystkich frontach w wojnie o wolność.

Dla nas Norwegów walka o Norwegię w obcym kraju jest czymś nowym. Ale Polacy, którzy przybyli do Narviku aby bić się o naszą wolność, i mężnie walczyli razem z naszymi żołnierzami—nauczyli nas, że ojczyznę nosimy we własnym sercu i że wszędzie tam, gdzie człowiek walczy o wolność, walczy o swój własny kraj. O Polskę—i o Norwegię.

Nasz naród nigdy nie zapomni żywnotnej pomocy, jakiej Polacy nam udzielili w chwili potrzeby. Będziemy zawsze strzegli grobów poległych bohaterów i czcili ich pamięć.

"Za naszą i waszą wolność"—to hasło żołnierzy polskich, których walka na obcych ale wolność miłujących ziemiach ciągnęła się przez kilka pokoleń. W tych czasach próby i wojny, które po raz pierwszy w historii Polacy i Norwegowie przeżywają razem—nie ma dla nas wyższej pochwały nad tę, że służyliśmy temu samemu hasłu z taką samą odwagą i z równym poświęceniem, jak naród polski.

OLAV RYTTER

przekład
ANTONINY JANOWSKIEJ

Już na emigracji Norwegowie przyjęli zasadę jednolitego dowództwa dla swoich sił zbrojnych. Spoczywa ono w rękach Najwyższej Rady Obrony, obejmującej przedstawicieli wojska, marynarki i sił powietrznych oraz naczelnego wodza. Jest nim od lutego 1942 r. młody, energiczny, dziś już szeroko popularny generał W. Hansteen /na zdjęciu/.



Urodził się w r. 1896, otrzymał stopień oficerski w r. 1917, w 1931 został mianowany majorem. Od 1934 do 1936 był szefem sztabu Piątej Dywizji a od 1937 do 1941 norweskim attaché wojskowym w Helsinkach.

"...*Dzielne wojska polskie walczą tu na Północy dla wspólnej naszej sprawy. Polska sama odczuła już w przeszłości, co znaczy utrata wolności i prawa samostanowienia o sobie. Polacy walczą, tak samo jak my, o zwycięstwo prawa i sprawiedliwości. Dziękuję wam, żeście tu przybyli. Oby Polska odzyskała wolność, o którą i my tu w północnej Norwegii walczymy.*"

/Z odezwy J.K.M. Króla Haakona VII wydanej 19-go maja 1940 w północnej Norwegii./

"...*Norweskie nie rzucone Niemcom było zgodne z ideałami norweskimi, zgodne z ideałami Waszych przodków, zgodne z norweskimi poglądami na życie, zgodne i wierne ideałom ludzi z Eidsvoll.*

"*Dlatego też, choć nie jestem prorokiem, jestem pewien, że król wasz przejdzie do historii jako król Haakon Wielki. Wykazał poczucie honoru i godności i stał się symbolem. Symbolem wolności i symbolem wierności. Stał się królem ludowym.*

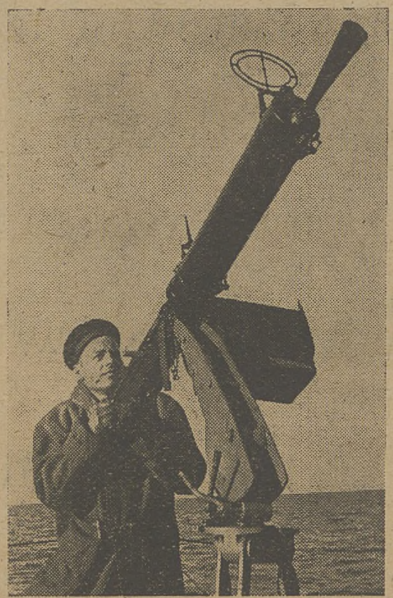
"...*Byłem szczęśliwy, że moi rodacy przybyli do Norwegii, by walczyć—jako żołnierze sprawy polskiej—o waszą wolność. Norwegia—Narvik, Ankenes, Bejsfiord, Harstad—weszły do polskiego słownika walk wolnościowych. I z wielkim wzruszeniem czytałem w nielegalnym, podziemnym piśmie polskim z maja 1940 roku: "Pozdrawiamy naród norweski, który walczy o swoją wolność. Pozdrawiamy żołnierzy polskich, którzy walczą o wolność Norwegii."*

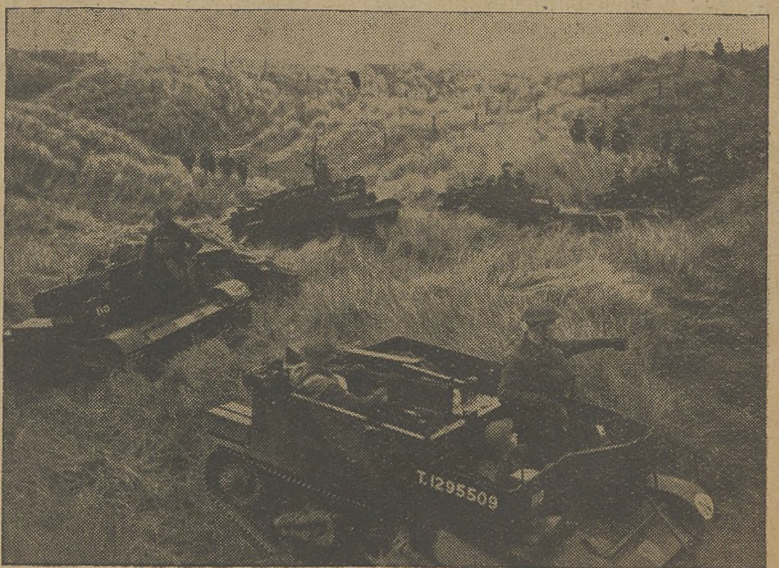
Przypomniał mi się Wergeland, który po upadku powstania listopadowego pisał: "Europa upadła wraz z Polską."

/Z przemówienia min. Neumanna do narodu norweskiego./

Lotnictwo Walczącej Norwegii i jej marynarka, w której służy 22,000 marynarzy dzielą już z nami losy toczącej się wojny, wojsko lądowe zaś, podobnie jak nasze, przygotowuje się do przyszłej walki







Wspomnienia z Kampanii Norweskiej



VII.*

Miejscowość Bejsfiord zajmowały dwa bataliony: I i IV. Dowództwa obu batalionów mieściły się niedaleko siebie. Tak ma'or K. jak też i ja intensywnie przygotowywaliśmy dalszą akcję w kierunku na Syldvik. II batalion był w odwodzie Brygady i stał w rejonie Haakvik-Skjomnes. III batalion nadal ubezpieczał bazę aliancką w Ballangen i tyły.

Obok nas po północnej stronie masywów górskich: Bejsfjordtotta /1448/ i Rombakstotta /1243/ między tym ostatnim a fiordem Rombaken na wysokości stacji kolejowej Straumsnes—usadowiła się Legia Cudzoziemska, która w czasie bitwy o Narvik wykonała desant z północnej strony tego fiordu. I batalion obsadził grzbiet Resmaalaksla /970/ i utrzymywał łączność patrolową z Legią. Łączność ta była utrzymywana bardzo ściśle, być może nawet zbyt ściśle. Bowiem gdy nasi przychodzili do legionistów i odwrotnie, oni gdy przychodzili do nas, braterstwo broni było mocno zakrapiane rumem i winem.

Niemcy po upadku Narviku bardzo podupadli na duchu i znajdowali się w stanie zupełnego rozkładu i ledwie, ledwie mogli wysiedzieć na swych placówkach położonych w odległości od 2-3 km. od naszych stanowisk. Najmniejszy ruch naszych patroli, najmniejszy ogień kierowany na nich i Niemcy po prostu się rozbiegali. Tak wyglądała ich siła odporu, gdy nie mieli potężnego i miażdżącego własnego ognia jako wsparcia. Żołnierze nasi zaczęli się odzywać o Niemcach z największą pogardą.

Jedynie lotnictwo niemieckie, prawdopodobnie aby dodać swej piechocie nieco otuchy, latało i prawie codziennie bombardowało teren zajęty przez aliantów. Bombardowanie to jednak odbywało się na chybił trafił. Oddziały nasze świetnie opanowały sztukę maskowania się, skutkiem czego małe mieściny przepełnione wojskiem robiły wrażenie wymarłych. Nieraz niemiecki samolot rozpoznawczy, jak jastrząb krążył także i nad Bejsfiordem starając się przez kilkanaście minut wypatrzeć jakieś oznaki życia. Napróżno! Domki porozrzucane w brzezinie wydawały się puste. Jedynie z otwartego okna znajdującego się po zaciemnionej stronie domu, niekiedy wysuwała się wykręcona twarzą do góry, głowa żołnierza i wtedy dawał się słyszeć mniej więcej taki monolog:

—"Co chamie? Szukasz nas? szukaj, szukaj . . . synie! Wszystko jedno nic nie znajdziesz, pies ci mordę lizał!"

Istotnie lotnik niemiecki jakgdyby słysząc tego rodzaju zapewnienia po pewnym czasie nabierał wysokości i znikał za górami. Jednak eskadry bombowe potem nie nadlatywały. Widocznie lotnicy niemieccy meldowali swym przełożonym mniej więcej to, co im przygadał polski żołnierz.

Raz jeden olbrzymia formacja bombowców lecąc z południa na północ nisko przeleciała nad nami, ale nas nie zaczepiła. Jak się potem okazało Niemcy zaatakowali Narvik od strony północnej. W tym dniu piękne i kwitnące miasto legło w gruzy i zmieniło się w dymiące zgliszcza. Była to chyba zemsta za utratę tego miasta i za poniesioną klęskę. Bowiem sam Narvik nie przedstawiał żadnej wartości taktycznej, zaś port i kolej były dawno zniszczone. Niemcy raz jeszcze pokazali kim są.

Tym razem jednak to bezmyślne bombardowanie bezbronnego miasta kosztowało ich bardzo wiele. Poszczególne klucze formacji bombowej po zrzuceniu bomb wracały wzdłuż fiordu Bejsfiord, a następnie kierowały się na południe. Gdy w pewnej chwili około 12-15 maszyn, które wydawały się niezwyciężoną potęgą, z groźnym warkotem przelatywało nad nami, ni stąd ni z owąd wyszły do ataku trzy brytyjskie myśliwce.

Jak jastrząb rzuca się w środek stada gołębi, tak te trzy myśliwce rzuciły się z góry na niemiecką formację. Jak stado gołębi napadnięte przez jastrzębia pryska na wszystkie strony i pojedyńcze ptaki usiłują uniknąć śmierci w szponach drapieżnika, dając nura ku ziemi, tak potężne bombowce nurkowały, aby się potem wymknąć między grzbietami górskimi. Tym razem jednak naśladowanie bezbronnych gołębi mało pomogło. W powietrzu zawrzała nie bitwa, lecz jednostronne wybijanie bombowców przez myśliwce. Długa seria ognia i jeden bombowiec dał nura. Nie wyprostował się już i zostawiając fioletową smugę, z głuchym trzaskiem podobnym do strzału armatniego rozbił się o Tverdall-Ryggen. Znów kilka serji i drugi trzasnął o skały masywu Storfj ciągnąc czarny gęsty warkocz. Znów ogień i znów głuchy trzask—w rejonie Durmaasfj. Po kilku minutach myśliwce przepędziły Niemców. Gdzieś daleko, lecz gdzie już nie można było rozpoznać nastąpiły jeszcze dwa silne wybuchy.

Wtem jeden zabłąkany mniejszy bombowiec niemiecki ukazał się od strony fiordu i na pełnym gazie, znacząc za sobą niebiesko-fioletową smugę zaczął wiać na południe. Lecz i jemu zaskoczyła drogę bezlitosna czarno-biała maszyna. Myśliwiec runął na Niemca z góry, przecinając powietrze długą a groźną serią ognia. Niemiecki samolot zawahał się, wykonał ostry skręt w tył i jak strzała poleciał pod kątem 40° prosto na nas. Prawy silnik wbudowany w skrzydło złowieszczo dymił. Jeszcze sekunda i samolot znikł w brzezinie tuż obok miejscowości, skąd obserwowaliśmy walkę. Wybuch jednak nie nastąpił.

Z kilku żołnierzami pobiegłem na miejsce "wypadku." Gdy przybyliśmy, samolot już był otoczony przez żołnierzy I batalionu. Pilot w stopniu lejtenanta po wyciągnięciu z maszyny przeżył jeszcze kilka minut i umarł. Był ranny w głowę, nogi i ręce, które miał podziurawione prawie jak rzeszoto. Nie mogliśmy wyjść z podziwu jak człowiek z tak pokaleczonymi rękami mógł tak sprawnie wylądować i w dodatku w takim terenie. Kabina pilota i kadłub były straszliwie postrzelane.

Z drugiego siedzenia wyciągnięto sierżanta. Miał także rany na głowie, rękach i nogach. Rana w głowie była szczególnie groźna. Sierżant był już opatrzony, a gdy nadchodziłem dwuch sanitariuszy z I batalionu dźwigało go na nosze. Niemiec był przytomny, a gdy się napił, zapytał gdzie jest. Powiedziałem mu, że jest jeńcem polskiego oddziału. Gdy to Niemiec usłyszał, niepokój ukazał się w jego oczach.

—"Jaki mieliście rozkaz na dzień dzisiejszy i gdzieście lecieli—"—zapytałem sierżanta.

—"Mieliśmy rozkaz zbombarwać nieprzyjacielskie okręty wojenne w porcie Narvik" — jak z płatka wyrecytował Niemiec, widać jednak było, że jest to dobrze wykuta odpowiedź.

—"Braliście udział w wojnie z Polską?"

—"Tak."

—"Bombardowaliście Warszawę?"

—"Tak . . . Bo taki miałem rozkaz . . ."

—"A wiecie, że teraz oto jesteście zaopatrzeni przez polskich żołnierzy, o których wam w rozkazach mówią i piszą, że mordują jeńców?"

—"Dyć ma nieczyste sumienie, że mu gały biegają jak zające po polu" — powiedział szpakowaty żołnierz, który przybiegł razem ze mną.

Więc i on zauważył niepokój Niemca. Niemiec jednak raptownie zaczął tracić siły. Lekarz I batalionu kazał odnieść go na punkt opatrunkowy. Wieczorem dowiedziałem się, że umarł. Równocześnie rozeszła się pogłoska, że ten Niemiec pochodził z Polski i że w dowództwie I batalionu są jego dokumenty. Podszedłem do mjra K. Istotnie zmarły sierżant, który jak dziś pamiętam nazywał się Trybulski pochodził z miasta Łodzi, ukończył polską szkołę średnią i odbył służbę czynną w wojsku polskim. Nie był to jednak Polak, bowiem miał na imię albo Rudolf, albo Bruno, a w każdym razie nosił czysto niemieckie imię. Znaleziono przy nim polską książeczkę wojskową, którą przechowywał "na wszelki wypadek" i nie oddał władzom niemieckim mimo wyraźnych rozkazów. Trybulski posiadał także polską cywilną legitymację i polskie świadectwo szkolne wystawione przez zakład Wawelberga w Warszawie. Z niemieckich dokumentów wynikało, że służbę w wojsku niemieckim rozpoczął w marcu 1939. W książeczce odbytych lotów można było stwierdzić, że bombardował Warszawę startując z lotniska polowego w Insterburg /Prusy Wschodnie/ w czasie między 15 a 27 września, a więc w tym czasie, gdy i ja tam byłem. Teraz znów spotkaliśmy się.

* * *

Kampania norweska wygasała. Po tygodniowym postoju na "bejsfiordzkim froncie," gdy wszystko było gotowe do natarcia, otrzymaliśmy rozkaz przygotowawczy do skrytego oderwania się od nieprzyjaciela i niepostrzeżonego wycofania się do rejonu Skjomnes, celem załadowania się na okręty. Rozkaz ten był umotywowany koniecznością opuszczenia Norwegii, co z kolei było związane z ogólną sytuacją we Francji.

Operacja ta nawet po klęsce jaką ponieśli Niemcy, technicznie była wyjątkowo trudna do przeprowadzenia. Należało za wszelką cenę wycofać się tak, aby Niemcy ze swoim potężnym lotnictwem i silnie rozgałęzioną siecią szpiegowską tego nie spostrzegli. Wymagało to największej tajemnicy i opanowania nerwowego, tym bardziej, że nie można tu było wykorzystać nocy jako czynnika ułatwiającego przeprowadzenie tej czynności.

Gdyby przeciwnik dowiedział się o rozkazie, który mieliśmy wykonać, statki i kutry byłyby masowo zatapiane i koszone ogniem z powietrza. Jakiekolwiek załadowanie się na okręty na pełnym morzu w ogóle nie byłoby możliwe, pomijając to, że mało kto dotarłby do tych okrętów. Mało kto wyszedłby cało z Norwegii nawet przy takim stanie rozkładu, w jakim znajdowały się wojska von Dietla.

Techniczna strona samego ładowania była także niezmiernie trudna z powodu braku jakichkolwiek większych urządzeń portowych. To też mieliśmy zabrać tylko to, co można było udźwignąć na plecach żołnierzy. Prowiant i tabor samochodowy trzeba było zniszczyć. Setki mułów puszczono luzem. Nawet zbędną amunicję kazano zatopić.

Przyznam się, że rozkaz o odwrocie przyjąłem z ulgą, bowiem zdawałem sobie sprawę, że wojska Koalicji liczące najwyżej 12-15 tysięcy ludzi bez odpowiedniej artylerii i posiadające wprost śmiesznie znikomą ilość lotnictwa, są niemal bezbronne wobec stutysięcznej armii przeciwnika, która powoli, ale bezustannie posuwała się na południowym teatrze działań i kierowała się wprost na nasze tyły. W dniu naszego ładowania się, a było to 7 czerwca siły główne armii niemieckiej znajdowały się w odległości niespełna 150 kilometrów. Uratowały nas jedynie góry.

Gdy przeczytałem rozkaz dowódcom kompanii, ci przyjęli go w grobowym milczeniu. Jedynie dowódca kompanii karabinów maszynowych por. S. zapytał co robić z masą amunicji do moździerzy i cekaemów, własnej i zabranej Niemcom w Ankenes. Poleciłem porucznikowi wydać zarządzenia, aby całą amunicję znieść na grzbiet Durmaalsfj w rejon szczytu 844 i wystrzelać w kierunku Niemców.

Porucznik przyjął ten rozkaz z na'większym zadowoleniem. Natomiast żołnierze kompanii k.m. wpadli w prawdziwy szał entuzjazmu. Tym, że trzeba było wnieść na grzbiet masę żelaza ważącego ponad tonę, absolutnie nikt się nie przejmował. Grunt, że można będzie prażyć po Niemcach, nie licząc się z ilością wypuszczonej amunicji, prażyć, ile wlezie.

Grzbiet Durmaalsfj, /widać to zresztą doskonale z mapy/ liczy około 850 metrów, co w odległości zaledwie 2-3 kilometrów od poziomu normalnego zera tworzy niesłychanie stromą pochyłość. Nie mniej, gdy przyszło do wykonania, żołnierze tej wspaniałej kompanii wtaszczyli cały sprzęt i około 100 tysięcy amunicji cekaemiarskiej w ciągu dwóch godzin. Porozumienie się z dowódcą kompanii I batalionu, który trzymał ten grzbiet było sprawą kilku minut.

Gdy znaleźliśmy się na szczycie grzbietu, przez lornetkę zupełnie wyraźnie można było rozpoznać hełmy Niemców ukrytych za zwałami kamieni. Porucznik wydał żarządzenia co do ustawienia broni i wymierzenia odległości. Naprzeciw grzbietu 844 Niemcy trzymali dwa gniazda oporu—na każde gniazdo skierowano moździerze i po kilka cekaemów.

Padła komenda. Po kilku chwilach zobaczyliśmy cztery wybuchy niestety nieco za krótkie.

Padła poprawka i nowa komenda. Cztery wybuchy były tuż za stanowiskami Niemców.

Znów poprawka i w każde gniazdo Niemców trafiły po dwa pociski.

—"Ogień ciągły"—padła komenda porucznika.

W dwóch niemieckich zgrupowaniach zaczęło się maleńkie piekło. Pociski rwały się bez przerwy. Wachlarzowate słupy czarnego dymu raz po raz wzbijały się w górę. Niemców ogarnęła dzika panika. Przez lornetkę było widać jak rozbiegali się na wszystkie strony, padali, znów podrywali się, znów biegli, wywracali się i już dalej nie biegli.

Porucznik podał poprawkę na wydłużenie ognia. Ogień moździerzy i cekaemów zaczął prać po uciekających Niemcach w kierunku na grzbiet Aksla /961/ i lodowiec Blaaisen /1485/. Potem porucznik podając po mistrzowsku dla poszczególnych moździerzy i cekaemów rozmaite celowniki, dopędzał pociskami i wiązankami ognia poszczególne grupki, a nawet pojedyńczych Niemców.

Wreszcie Niemcy zupełnie się rozproszyli i poznikali za garbami Aksla. Bito więc dalej z zacietrzewieniem, starając trafić za poszczególne fałdy, wypłaszając zielonkawe sylwetki z za jednych grzbietów i zmuszając je do szukania schronienia za innymi. Wreszcie i polska i niemiecka amunicja wyczerpała się . . .

Gdy dowódca I batalionu posłał następnie kilka patroli na miejsce, gdzie poprzednio były placówki Niemców, znaleziono tam kilkanaście nieboszczyków, dużo porzuconej broni i sprzętu a także nieco prowiantu. Od strony nieprzyjaciela nie padł ani jeden strzał. Widać było, że Niemcy nie są zdolni nie tylko do jakiegokolwiek działania zaczepnego, lecz nawet w obronie nie umieją wytrwać, gdy nie mają miażdżącej przewagi ogniowej po swojej stronie.

Było by obrazą porównywać to zachowanie się z dzielną postawą naszych żołnierzy w bitwach pod Mławą, Modlinem, nad Narwią, Jabłonną i wreszcie w beznadziejnej obronie Pragi, które miałem zaszczyt obserwować, a gdzie na setkę niemieckich strzałów armatnich padał zaledwie jeden polski . . .

To też oderwanie się, dalsze odejście na Skiomnes, załadowanie się na kutry, następnie przeładowanie się na kontrtorpedowce i wreszcie już na pełnym morzu na transportowce, jeżeli nie brać pod uwagę technicznej strony było fraszką i odbyło się w największym spokoju. Całe koalicyjne wojsko wyjechało z Norwegii nie tracąc ani jednego człowieka. Niemcy nawet tego nie spostrzegli. Sieć szpiegowska Niemców tym razem jakoś także im nawaliła. Owszem dowództwo niemieckie otrzymało informację, że wojska Koalicji opuszczają Norwegię, lecz z opóźnieniem o jedną dobę.

Gdy przybyliśmy do portu Glasgow dowiedzieliśmy się, że po naszym wyjeździe przyleciały wielkie formacje niemieckiego lotnictwa i zaczęły bombardować i siec z karabinów maszynowych literalnie wszystko: osiedla, przystanie, promy, przeprawy, mosty, pojedyńcze domy a przede wszystkim lasy.

Znów te męczeńskie miejscowości: Narvik, Ankenes, Fahernes, Bejsfiord, Skjomnes, Emmenes i t.d. i t.d. stanęły w płomieniach. Zapaliły się ich resztki.

Niemcy jednak bili w próżnię. Nas tam już nie było . . . zbrodnie, morderstwa i masa amunicji poszły na marne . . .

Tak więc skończyła się pierwsza epopea norweska, jestem jednak przekonany, że Norwegia będzie pierwszym krajem, do którego wrócą wojska koalicyjne. Polaków tam także nie zabraknie . . .

ARNOLD JASKOWSKI



* Por. nr. 14-15, 16, 17, 18, 19 i 20 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy odcinek zamyka ten cykl wspomnień.

Bez black-outu

Literatura lotnicza rośnie. Czytamy mniej lub więcej wstrząsające opisy wypraw, bardzo suche wywiady lub sztuczne w swym pogodnym tonie buffo-opowiadania. Podziwiamy w tych pracach fachowość określeń, orgie słów kolorowych, dynamikę opisów, żonglowanie cyframi . . . Z tych słów budujemy sobie w duszy naszej portrety lotnika polskiego bardzo kontrastowe, bardzo zróżnicowane, czasem bardzo odbiegające od rzeczywistości. Jeden—to daleki nam bohater, zakuty w hełm i kombinezon, "błękitny szaleniec," którego w myślach naszych, z dużą dozą egoizmu, skazujemy na życie stratosferyczne i podziwiamy go w tym szaleństwie. Drugi—to płochy, baraszkujacy trzpiot, który między jedną a drugą whisky siada na "grata," leci nad Francję, szaleje z amatorstwa nad słupami telegraficznymi, po czym wraca na randkę do Londynu, bo wiadomo już z natury taki "lotnik-zalotnik," Casanova podniebny . . .

Odwiedziłem niedawno, chyba już czwarty raz z kolei wszystkie prawie nasze dywizjony lotnicze. Rozmawiałem długo, byłem przy startach i powrotach. I to jest moja skromna legitymacja "lotnicza" do napisania tych kilku szczerych w intencji słów, które spróbują przemalować portrety lotnika nie-literacką farbą.

Wiem, że lotników krew zalewa ze złości czasem na niektóre wyczyny pisarskie, wiem nawet dlaczego. Bo oto polskie słowo pisane zamiast zbliżać lotnika do społeczeństwa—oddala go. Zamało mówi o nim jako o człowieku. Słowo polskie mechanizuje postać lotnika czyniąc z niego "robota," zwalczającego przestrzeń i czas, standaryzuje, maluje przez stare, gotowe szablony. Opisy wypraw—to za mało; trzeba dobić się do serca i duszy człowieka, który walczy w pierwszej linii bojowej za naszą wolność.

Może w tej sprawie jest trochę winy samych lotników, którzy niechętnie mówią o sobie, niechętnie odkrywają serce, niełatwo obnażają duszę. Po prostu, albo nie mają na to czasu, albo postawa pytającego, w gościnę przybyłego człowieka "z emigracji" jest tak daleka od prostoty i szczerości, że . . . nie mają zaufania. Pytania "lądowców" są istotnie czasami beznadziejne i rozbrajające, zadawane są przy tym, niewiadomo dlaczego, tragicznym szeptem lub grobowym, "głęboko-doświadczonym" głosem z miną konspiracyjno-sensacyjną. Na takie pytania odpowiedzi bywają suche, lakoniczne, z hamowaną pasją pod spodem.

Jak temu zaradzić? Jak zbudować pomost, pomost prostoty, po którym wiedzie jedyna droga do lotniczych serc? Spróbuję postawić jedno małe przęsło tego mostu. Nie wiem, czy mi się uda. Opowiem Wam o latających ludziach, po prostu o ludziach. Będą to fakty, może nie nowe, ale tylko fakty. Zdjęcia fotograficzne krótkie, nie interpretowane. Spróbujemy.

* * *

Człowiek, którego rękę długo trzymam w mojej dłoni, rozmawiając z nim w kantynie "Naffi" ma lat 22 i . . . 36 lotów operacyjnych. Sierżant-strzelec "ogonowy." Już /na razie/ nie lata. Będzie instruktorem w szkole. Serce nawala i "coś" z płucami . . . Tlen robi swoje, no i wysokość . . . Ale i tak dobrze wyszedł, bo na przykład Staszek, jego przyjaciel, też "ogonowy" z innej załogi rozchorował się nerwowo. Nie wytrzymał. "W tym ogonie tak samotny człowiek, daleko od całej załogi" . . . Przychodzą majaczenia, przywidzenia . . . Sierżant mówi: "Biedny Staszek. Miał też "Virtuti" i potrójny "Walecznych."

Mówi spokojnie i cicho. Jest bardzo blady i wyczerpany. Potrzebuje odżywienia. Niestety kuchnia angielska na niektórych lotniskach, szczególnie w messach podoficerskich i żołnierskich daleko odbiega od ideału. Pomyślałem o naszych lądowych szkockich kuchniach i apetytach, o dobrze zaopatrzonych kasynach, o niektórych polskich jadłodajniach londyńskich . . . Wpadła mi nawet "rewolucyjna" myśl przeniesienia kilku polskich kucharzy "lądowych" ze Szkocji do najważniejszych lotniczych dywizjonów operacyjnych.

Sierżant żegna mnie smutnym uśmiechem. Nie w smak mu to instruktorstwo. Mówi: "Do freblówki mnie dali na stare lata." Ale pociesza się, że Anglicy pozwolą mu wrócić i latać dalej, oczywiście na ochotnika. Uśmiecha się do tej myśli . . .

* * *

W messie oficerskiej na innym lotnisku spotykam człowieka, który cierpi. Widzę ból w jego oczach i nerwowe drgnienia twarzy. Rozmowa się nie klei, więc pijemy. Po którymś tam kieliszku nachyla się ten człowiek i szepce mi do ucha: "Wiesz dlaczego piję? Bo nie lecę dzisiaj. Pójdę z tobą na start i bedę patrzył jak inni . . ."

Przerwał. Spojrzałem mu w oczy. Beczał, jak mały chłopak. Łzy lały sie do kieliszka i na moją rękę. Objął mnie ramieniem i mówił rwanym szeptem: "Wiesz, co znaczy człowiek bez załogi? Straciłem, straciłem moją załogę. Siedziałem z nimi na morzu kilka godzin . . . Nie wytrzymali . . . Widziałem jak zamarzali. Ja się uratowałem. Serce wytrzymało . . . Tylko . . . popatrz: w morskiej wodzie moja Matka Boska straciła kolory."

Wyjął z portfelu żołnierski obrazek Matki Boskiej, z którego pozostały tylko kontury. Kolory zmyła słona woda . . . Człowiek ten musiał bardzo cierpieć, bo widziałem, jakim tkliwym ciepłem darzyli go inni ludzie w niebieskich mundurach. Był ze mną na starcie i gryzł wargi z bólu. Wszyscy lecieli. On jeden nie. Wiadomo. Człowiek bez załogi.

* * *

Bolek ma w ręce pomarańcze. Dwie pomarańcze i tabliczka czekolady—to znak, że dzisiaj leci. Przynosi mi te pomarańcze i mówi: "Jedz, witamina!" Wzbraniam się: "Jak to? Przecież to "służbowe," nietykalne, na lot." Bolek mówi spokojnie nie bez pewnej aluzji: "Może tam nie zdążę zjeść?" . . .

Więc dzielimy pomarańcze na dwie części i zjadamy razem. Bolek mówi, że w domu był ostatni raz na Boże Narodzenie w r. 1938. Czy pisał? Nie. Po co? Po co mają myśleć, że on żyje? Jemu się zdaje, że to wszystko był sen, a teraz dopiero jest właściwa rzeczywistość. Rzeczywistość ta wymaga od jego rodziny, by wyrobiła w sobie przekonanie, że on dawno zaginął. Takie jest jego życzenie. Trzeba "myśleć na zapas"—jak sam powiada. Tylko gdy mówi o matce—to dziwnie chrząka i sięga po papierosa. Palimy "Pasha."

Zmieniamy temat. Mówimy o trudnościach tytoniowych. Z papierosami nie jest najlepiej na lotniskach. A powinny być bez ograniczeń! O poprawie wiktu, o czekoladzie—nie tylko na lot—o papierosach dla lotników, powinien pomyśleć komitet nie oficjalny, nie duży, ale po prostu, jakieś małe grono wielkich serc. Adresami i szczegółami mogę służyć w każdej chwili. Myślę, że pamięć o żołnierzu polskim walczącym w tej chwili codziennie na froncie niemieckim, jest chyba najprymitywniejszym obowiązkiem emigracji.

* * *

A ten front nie jest tak daleko jakby się komuś zdawało. W jednym z dywizjonów myśliwskich zastałem kartkę tej treści: "Zaczekajcie na nas z przedstawieniem. Nie gniewajcie się. Jesteśmy we Francji! Będziemy się starali wrócić punktualnie." W tym dniu byli nad Francją po raz trzeci. Wracają z takich lotów zmęczeni i bardzo chce im się spać. Nie piją, nie jedzą tylko szukają, gdzie by usiąść w głębokim fotelu i zdrzemnąć się. Nie "błękitni" i nie "podniebni," tylko bardzo zmęczeni ludzie, którzy dziennie zużywają więcej nerwów i płuc, aniżeli inny człowiek przez całe miesiące.

Prowadzą swoje dywizjonowe książki pamiątkowe z fotografiami. Czyta się te rzeczy jednym tchem. Ogląda się niedawno widziane dziś zaginione w mgle Angielskiego Kanału twarze przyjaciół, znajomych. Obok niektórych zdjęć w książkach pamiątkowych widnieją małe znaczki swastyki. To ewidencja strąconych samolotów nieprzyjacielskich. Niektórzy liczą 8, 10, inni 15 i więcej.

Mówił mi jeden z nich, że podziwiają Anglików i Czechów, którzy potrafią robić dobrą propagandę dobrej robocie lotniczej. Przykro im, szczególnie tym z wieloma znaczkami ewidencji strąconych, że ciągle jeszcze daje się wyczuwać brak prosto podanych szczegółów o polskich, często brawurowych wyczynach lotniczych. Informacja oficjalna operując ogólnikami oddziałuje zbyt słabo emocjonalnie. Przypuszczam, że interesujące szczegóły są "tajne," łamane przez: "poufne" i dlatego najciekawsze opisy znajdziesz w księgach pamiątkowych lotniczych, pisanych ręką przyzwyczajoną do knypla, pisanych sercem z ujmującą naturalnością. Ludzi tylko tych samych niełatwo odnajdziesz.

Daremnie szukałem tego blondyna sierżanta ze Lwowa w nocnym dywizjonie myśliwskim. Podobno w niewoli. Albo . . . napewno w niewoli—tak się często mówi wśród nich. Ten sierżant M. pochodził z Gabrielówki, z przedmieścia lwowskiego. Nie miał więcej niż 25 lat. Mówiłem z nim tamtego roku wkrótce po straszliwym nalocie niemieckim na jedno z lotnisk myśliwców nocnych. W tę okropną noc, gdy nikt nawet nie mógł myśleć o obronie, on jeden poderwał swoją maszynę wśród gradu bomb, poszedł do walki i strącił jeden z bombowców atakujących hangary.

Jeden z ocalałych Niemców prosił Anglików, by mógł poznać tego ryzykanta, który wystartował w ogniu. Niemiec pewny był niemal, że to Polak. Sierżant z Gabrielówki odmówił poznania. W rozmowie, której nigdy nie zapomnę, zapytałem go, co było powodem brawurowego wyczynu. Przecież to była pewna śmierć! Sierżant M. zaśmiał się wesoło: "Wi pan co? Ta tak mówiąc między nami—ja si po prostu bał tu na ziemi, bo tu było serdeczne magulanie, to ja sy kombinuji tak: mam kity odwalać, to wolę w powietrzu." Prosta historia. Bał się na ziemi, nie przyzwyczajony do bomb, więc wystartował. A że walczył i strącił jeden z bombowców, to już przypadek. Cieszył się bardzo krzyżem "Virtuti Militari" tylko wciąż powtarzał uparcie: "Żebym tak zdrów był, że nie wiem za co." Oto sylwetka bohatera. Każdy przyzna daleka od koturnu i aureoli.

* * *

Jurek, porucznik-obserwator, lubował się jak wielu z nich w motorach. Kupował stare auta, sam reperował, zamieniał naprawione na motocykle, motocykle na rowery, rowery na nowe auta. Gdy byłem u niego na lotnisku, kupił właśnie jakieś pudło twierdząc, że to okazyjny, najnowszy typ Forda, choć opinia lotnicza zgodnie określała nowy nabytek Jurka jako wózek do rozwożenia lodów. Jurek zapraszał mnie na przejażdżkę tym wytwornym samochodem. Jeden z członków jego załogi delikatnie odwiódł mnie na bok: "Panie niech pan tym pudłem nie jedzie, na miły Bóg, my wszyscy mu stale odmawiamy, to wielkie niebezpieczeństwo, nie można się tak narażać."

Ci sami przezorni pasażerowie Jurkowego pudła wieczorem przy mnie startowali do lotu operacyjnego nad Niemcy. Nie wspominali o jakimkolwiek narażaniu się.

Jurek potrzebował pieniędzy na te motorowe transakcje, więc założył się z przyjacielem o 5 funtów, że ogoli głowę do skóry. Brzytwą. I ogolił! Wygrał 5 funtów. Stracił młodą, bujną czuprynę i starego "Forda." Teraz ma motocykl i ogoloną głowę. Aha i jeszcze coś: ma 30 lotów bojowych i kilka odznaczeń. Prawda, jakie to dalekie od obrazu "literackiego lotnika," obwieszonego bombami zakutego w kombinezon i hełm?

* * *

Jest w jednym z dywizjonów "jubilat Kanałowy," podoficer, który cztery razy ratował się na kanale La Manche. Nie mogłem mu osobiście uścisnąć ręki, ale czynię to w tej drodze pochwalając jego myśl założenia "Koła Pływaków Kanałowych." Prezesura jego jest z góry przesądzona. Nie przypuszczam, aby odważył się objąć to stanowisko ktoś, kto w ogóle nie latał nad Kanałem. Grube ryby muszą tym razem ustąpić temu pływakowi. Pomysł bohaterskiego podoficera jest autentyczny i świadczy najlepiej o prostocie ujmowania tych spraw przez walczących lotników.

* * *

Nie są to więc "szatany" ani "zalotniki." Są czasem bardzo smutni, są często bardzo zmęczeni. Płaczą łatwo, gdy zaśpiewasz im polską, tkliwą piosenkę, śmieją się głośno, gdy opowiesz im dobry żart. Nie lubią lemoniady i . . . waseliny. Nie lubią i pustych, niepotrzebnych słów. Mówią o przyszłej Polsce spokojnie bez szowinizmu i politykierstwa. Jak na froncie.

Tutaj w tych najofiarniejszych sercach polskich dokonują się przemiany naszej duszy narodowej. Przemiany napewno trwałe. Dlatego może każda małość, każda błaha "kwestia emigracyjna" więcej boli i razi, gdy wraca się z tego czystego startu wielkości na wąskie kręte ścieżyny obecnej bardzo "lądowej" naszej rzeczywistości.

WIKTOR BUDZYŃSKI.

P.S. W jednym z moich poprzednich felietonów pisałem o Kalendarzykach, wydanych pod redakcją p. A.L. wytykając brak obrony Lwowa w historycznych datach listopadowych. Obecnie otrzymałem od p. A.L. obszerne wyjaśnienia, które lojalnie podaję do wiadomości Czytelników: "W roku 1942 wszystkie daty historyczne w Kalendarzyku, prócz rocznic obchodzonych oficjalnie, zostały wycofane z dwóch względów: 1/ w zeszłym roku nie było wielu książek polskich i Kalendarzyk miał przypomnieć, a w tym roku żołnierz ma świetlice, oficerów oświatowych i Kolina, 2/ w zeszłym roku każdy miał pretensje, że bitwa pod Pipidówką jest taka ważna jak pod Warszawą i Lwowem. Więc dałam co innego: całą wojnę obecną. Zapewniano mnie, że w ten sposób uzyskam spokój, bo Heile Selassie nie będzie się ze mną kłócił. Ale rozumie się, że pan, Bezblackoucie, nie byłby Polakiem, żeby widział w pracy to co jest, a nie szukał czego nie ma."

Tyle p. A.L. A ja? Za wyjaśnienie dziękuję. Nie przekonało mnie ono ani formalnie ani uczuciowo. Odpowiadam z Kalendarzykiem w ręku: skoro pod datą 9 lutego widnieje uwaga: "W roku 1918 zawarcie pokoju rosyjsko-niemieckiego w Brześciu nad Bugiem," a pod datą 3 marca wpisano: "w r. 1921 zawarcie sojuszu wojskowego polsko-rumuńskiego"—to jestem zmuszony stwierdzić, że obydwie te daty nie dotyczą wojny obecnej, a już w żadnym wypadku nie stanowią rocznic "obchodzonych oficjalnie." W dalszym ciągu nie rozumiem w sercu moim, dlaczego 22 listopada świeci pustką. W dalszym ciągu "widząc w pracy to co jest, szukam czego nie ma"—a raczej dlaczego nie ma? Haile Selassie nie będzie się napewno o to kłócił, więc musi za niego ktoś inny. I do "błędu" niestety przyznać się nie mogę. Trwam w nim uparcie, jak kamienne lwy przed Ratuszem lwowskim.

W.B.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,566

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942

Redaktor "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam "Money Order" na sumę £37.7.2—uzyskaną z zabawy urządzonej przez polski dyon lotniczy w St. A . . . z okazji Święta 3-go maja. Pieniądze te przeznaczone zostały na pomoc Polakom w Rosji.

Polski Oficer Senior

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłamy kwotę £4.0.0 /słownie: cztery funty/ złożoną przez żołnierzy No. 1 Signals School C . . z okazji imienin Polskiego Seniora ppłk. Stanisława P.

Kwotę tę przekazujemy zgodnie z Jego życzeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Roman K. sierżant

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Żołnierze Mainten. Wing'u Polskiej Szkoły Pilotażu w N . . . złożyli na rzecz pomocy Polakom w Rosji £7.6.5, a uczniowie piloci kursu na ten sam cel kwotę £13.0.0.

Załączając Money Order na kwotę £20.6.5, proszę o przekazanie tej kwoty do P.C.K. na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Komendant Polskiej Szkoły Pil.

* * *

Proszę przyjąc i przekazać na pomoc Polakom w Rosji załączoną kwotę £2.2.0—otrzymaną z P.M. Broadcasting—jako honorarium za udzielony wywiad.

R.B. F.O. R.A.F.

Zamiast podziękowań za złożone życzenia imieninowe £1 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Zofia Leśniowska

* * *

W załączeniu przesyłam "Money Order" na kwotę sh.10 aby w ten sposób uczcić pamięć śp. ppłk. Antoniego Gosiewskiego i jego rodziny. Kwota ta jest moją tygodniową gażą w Armii Angielskiej. Proszę uprzejmie o przekazanie jej na odpowiednie konto.

2015421 *ACW/2 Tokarczyk Lidia*

* * *

Przesyłam money order na £1—które proszę przyjąć i przekazać na pomoc dla Polaków w Rosji.

Halina Mikosza

* * *

W załączeniu przesyłam "postal order" na sumę sh.10 z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.

Wojciech W. sierż.

KOMUNIKAT POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymał do dnia 31.III.42 na rzecz pomocy Polakom w Rosji od Oddziałów Wojskowych przez Dowództwo I. Korpusu oraz bezpośrednio kwotę £12,165.13.8 /słownie: dwanaście tysięcy, sto sześćdziesiąt pięć funtów, trzynaście szylingów, osiem pensów/.

Do dnia 31.III.42 wysłano dla Polaków w Rosji leki, materiały sanitarne i odzież za £40,162.16.0 /słownie: czterdzieści tysięcy, sto sześćdziesiąt dwa funty, szesnaście szylingów/. Poza tym wysłano odzież używaną, bieliznę etc. pochodzącą z darów—ogółem 57,439 sztuk.

For the Poles in Russia £2—which Mrs. Morrah refused to accept for herself.

Elżbieta Horodyńska

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji £5—ofiaruje.

płk. F.M.

* * *

Redaktor "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam kwotę £2 /słownie: dwa funty szterlingi/, którą p. Bolesław Wierzbiański, jako należne mu honorarium autorskie przeznaczył na pomoc dla Polaków w Rosji.

Szef Biura Propagandy i Oświaty

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Na pomoc Rodakom w Rosji złożyli:

ppor. Dr. Emil D.	sh.5
Por. Dr. Czesław C.	sh.5
Bomb. G.	£1
razem:	£1 sh.10

które w załączeniu przesyłam.

Ks. Józef Narloch

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji, z okazji imienin mojej Matki i kogoś Drogiego składam kwotę £1.

Spadochroniarz, ppor. M.D.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £78.5.7 /słownie: siedemdziesiąt osiem funtów, pięć szylingów, siedem pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1566.6.5½ /słownie tysiąc pięćset sześćdziesiąt sześć funtów, sześć szylingów, pięć i pół pensa/.

Z życia oboz´w

Chłopcy z Ameryki



Obiad

Jasny i ciepły dzień dobiegał południa. Małe szkockie miasteczko, spokojnie drzemało w blaskach słonecznych, a schludne uliczki były niemal wyludnione w porze południowej przerwy w pracy. Nagle przerwały tę ciszę dźwięki piosenki maszerującego oddziału: melodia nie była swojska—jakaś czesko-amerykańska—ale słowa polskie:

To Polacy, żołnierze-ochotnicy z Argentyny, Urugwaju, Brazylii, z całej Ameryki Południowej wracali z ćwiczeń porannych. Ożywiły się ulice osiedla; z małych domków wybiegły z krzykiem dzieci, z poza firanek zerkać poczęły ukradkiem szkockie panny. A polski oddział dochodził aż do końca miasteczka. Choć niedawno dopiero w mundurze, sprawnie maszerowali ci polscy żołnierze z dalekiej Ameryki i pieśń niosła się swobodnie, aż umilkła, gdy oddział wszedł w obręb parku sportowego, do rejonu zakwaterowania.

Szerokim półkolem stały tu namioty, w tej chwili puste, z podniesionymi dla lepszego przewiewu płachtami. Jak na wścibskich reporterów przystało zaglądamy do środka: urządzenie porządne, w każdym namiocie podłoga z desek, wygodne łóżko i koców wielka obfitość. I porządek, naprawdę wzorowy. Już oczyszczone z kurzu karabiny spoczęły na stojakach, żołnierze zaś wychodzą przed namioty rozsiadając się na ławeczkach lub skupiają przed budynkiem dowództwa i czytają wywieszone na tablicy ogłoszenia. Program dnia przewiduje wieczorem, po ćwiczeniach, wymarsz do kina, wobec czego niektórzy gorliwsi eleganci od razu zabierają się do toalety i za chwilę pełno postaci z namydlonymi twarzami uwija się pod drzewami.

Obchodzimy rejony poszczególnych plutonów fotografując i wdając się w rozmowy z nowymi kolegami. Zaczynamy od odwiecznego, reporterskiego:

—"Jak się czujecie"?

—"Bardzo doskonale"—pada zdecydowana odpowiedź jednego z zagadniętych; inni potakują gorąco.

Tak jest, wszyscy oni są niezmiernie zadowoleni, po prostu szczęśliwi z tego, że przybyli tutaj. Czują, że są potrzebni, wiedzą, że pierwsi z całej emigracji za oceanem spełnili obywatelski obowiązek. Z humorem opowiadają, jak to przed ich wyjazdem z Argentyny czy Urugwaju gadki chodziły, że tam w Anglii z większości miast, bombardowanych przez lotnictwo niemieckie, nie pozostał kamień na kamieniu, że porty są zniszczone zupełnie, że niemieckie okręty podwodne stadami całymi buszują po oceanie, a oni jadą na pewną śmierć. A jednak pojechali i dopłynęli szczęśliwie. Dopiero na miejscu przekonali się, jakie wierutne bujdy im opowiadano. Już oni teraz napiszą do swoich, jak w istocie prawda wygląda!

Pod jednym z namiotów mała gromadka pilnie studiuje jakąś książkę. Podchodzimy bliżej. Okazuje się, że uczą się angielskiego. Oczywiście nauka tego języka wchodzi w zakres ich normalnego wyszkolenia, ale teraz, z własnej pilności, korzystając z wolnej chwili przed obiadem, czytają: "Tysiąc słów po angielsku" i uzupełniają nabyte wiadomości. Inna grupa skupiła się przy koledze, który przywiózł z dalekiej Argentyny polskie pismo emigracyjne, ostatni numer, który czytali przed odjazdem. Zapewne już wszyscy znają ten numer: "*Niezależnego Kuriera*", ale nie zaszkodzi przeczytać raz jeszcze skoro właśnie w tym numerze umieszczono kilka wierszy, których autorzy są już dzisiaj w Szkocji, w polskim mundurze.

Później zapewne regularnie otrzymywać będą swoje wychodźcze pismo, ale narazie ten jeden egzemplarz jest oznaką ich łączności z Polonią, która ich tu wysłała. Wspominają z rozrzewnieniem pożegnanie w Buenos Aires, pamiętają serdeczne przemówienie konsula, łzy rodaków i rodaczek, wzruszające upominki, które na odjezdnym otrzymali. O, przyjedzie jeszcze dużo z tych, co ich niedawno żegnali. Tyle ludzi zgłasza się do biur rekrutacyjnych. Przychodzą nawet starsi wiekiem, nawet słabszego zdrowia ludzie chcą się zaciągnąć w szeregi. Przyjadą, napewno przyjadą!

Zarządzono tymczasem zbiórkę na obiad. Skończyła się nauka, przerwały rozmowy, kiedy bractwo na wyprzódki skoczyło do namiotów. Za chwilę już ustawiły się sprawnie drużyny na drodze, wiodącej do kuchni. W życiu rekruta jednak tak bywa, że zanim otrzyma się obiad trzeba dopełnić pewnej formalności i dlatego teraz dowódcy drużyn kontrolują czystość menażek, łyżek i widelców. Wszystko w porządku oczywiście, zaczem każdy ochotnik bierze pajdę chleba i dołącza do długiego "ogonka" przed kuchnią. Biało-odziani kucharze (jakże niesłusznie przez ogół żołnierski "szmirakami" przezywani!) uwijają się w pocie czoła. Nad drzwiami kredą na czarnej tablicy napisano, że w tym dniu każdemu żołnierzowi 3 kompanii patrzy się z kotła menażka zupy jarzynowej, kotlet z ziemniakami i jarzyną, oraz kompot.

Obok kuchni przygotowano kilka większych namiotów z dużymi stołami; dziś jednak niewielu tylko spożywa posiłek w ich wnętrzu, większość korzystając z pięknej, bezwietrznej pogody, rozsiadła się na trawie i posila się wolno, ale dokładnie. Przysiadamy się do jednej gromadki, nawiązując przerwane rozmowy. Pytamy się wzajemnie, kto z jakich stron pochodzi. "Z Kielc", "Z Radomia", "Z Sandomierza"—padają odpowiedzi. Jest i reprezentant Mazowsza z pod Warszawy, i Wilnianin, wysoki jak tyka i góral z pod "samiutkich Tater" i Lwowianin i Ślązak. Ale skąd jest najwięcej? Nie zgadłem ja i sądzę, że nikt z Czytelników także łatwo nie odgadnie. Otóż z Pińczowa! Tak jest: z Pińczowa. Dowiadujemy się, że to małe miasteczko miało na emigracji tylu swoich przedstawicieli, że powstało coś w rodzaju: "Związku czy Koła Pińczowiaków". Trzymali się zawsze kupą, solidarnie i dobrze na tym wychodzili, a teraz kupą zaciągnęli się do wojska.

Języki rozwiązują się co raz dokładniej, zaczynają się opowieści, zwierzenia: jeden z ochotników był barmanem w hotelu, drugi kierowcą taksówki, jeszcze inny pracował na farmie, jako rolnik. Ktoś znowu próbował po kolei kilku zawodów, aż trafił nareszcie do doków okrętowych i dobrze zarabiał. Ożenił się z Argentynką, synka małego dochował. Teraz zostawił wszystko i wdział mundur żołnierza. Tak trzeba! Decyzja prosta, jedyna, ale czy tak łatwo się na nią zdobyć? Odpowiedzcie szczerze Rodacy ze Stanów Zjednoczonych.

W jakiejś chwili ktoś wtrącił do rozmowy słowo: tęsknota. Na tym punkcie nastąpiło już chyba teraz najzupełniejsze zjednoczenie i porozumienie pomiędzy Polakami na całym świecie. Tęsknota! Rozumiem Cię dobrze kolego z Argentyny, który powtarzasz mi w zadumie: "czternaście lat nie widziałem kraju", rozumiem dobrze ja, który rozpoczynam dopiero trzeci rok rozłąki. Oczywiście dużo jest i takich, którzy wyemigrowali stosunkowo niedawno: przed pięcioma, sześcioma laty, a młody krajan ze Lwowa jeszcze dwa miesiące przed wybuchem wojny był w Polsce. Ale pokazują także takiego, który jako dziecko przybył do Argentyny i słabo mówi po polsku, czego się bardzo wstydzi. Za to czuje gorąco! Uczy się teraz pilnie mowy swoich ojców i przy życzliwej pomocy kolegów robi szybkie postępy. Ale to tylko jeden jest taki. Reszta zarzuciła już dźwięczny język hiszpański i portugalski i tylko czasem wyrwie się któremu jakieś słówko jedno czy drugie. Tylko "*si, si*" i "*no, no*" pozostało jako pamiątka pobytu na obczyźnie. I jeszcze jedno słówko. Szkockie dziewczęta są bardzo rade, kiedy je słyszą: *seniorita*.

Obiad się kończy, menażki już są puste. Teraz zaczyna się nie dla każdego zbyt miły, ale niezbędny obrzęd zmywania statków. Niestraszna to jednak czynność, gdy kucharze przygotowali całe kadzie gorącej wody na ten cel. Okolice kuchni pustoszeją, jeszcze jacyś "repeciarze" pracują gorliwie żuchwami, ale ośrodek życia i zainteresowań chłopców z Ameryki przenosi się znowu w pobliże namiotów.

Pozostawiamy ich na chwilę i idziemy do dowództwa batalionu, gdzie znajduje się w przechowaniu sztandar, przywieziony przez ochotników. Służbowy rozwija go ostrożnie i pokazuje. Niezwykły to proporzec; na jednej stronie napis w języku polskim, na drugim w . . . hiszpańskim. Trudno, taki jest przepis prawny. Ale orzeł biały jest na tym sztandarze i kolory narodowe. Nie wojskowa to chorągiew: związek organizacyj społecznych polskich ufundował ją w r. 1935. Kiedy zaś pierwsi ochotnicy ruszali do Szkocji, Polonia argentyńska oddała im ten znak, aby ich przeprowadził przez morza zdradliwe ku brytyjskiej wyspie wolności, a potem do Polski przywiódł zwycięsko.

Pan służbowy ma głos



Zdjęcia Wojskowej Sekcji Filmowo Fotograficznej



Toaleta przed wyjściem do kina

Zbliża się godzina rozpoczęcia ćwiczeń popołudniowych, zabieramy więc nasze aparaty fotograficzne i dopędzamy kompanię, która kieruje się ku wzgórzom, górującym nad miastem. Powietrze przesycone jest słońcem.

Oddział zatrzymuje się, rozłamuje na plutony i drużyny i rozprasza w terenie. Zaczyna się praca. Obchodzimy jedną gromadkę po drugiej, przysłuchując się i fotografując. Oto stoi drużyna w wyrównanym szeregu i ćwiczy chwyty bronią. Robi to jeszcze na "tempa", co jest właściwością wcześniejszego etapu szkolenia, ale robi dobrze. Brak tym ruchom płynności, zgrania, ale postęp dokonywa się niemal "na oczach" w miarę, jak jedni uczą się chwytów, a drudzy je sobie przypominają. Trzeba bowiem zauważyć, że wśród gromady nowprzybyłych są i tacy, którzy w r. 1920 walczyli jako ochotnicy. Instruktor przechodzi wzdłuż szeregu, dociąga kolby karabinów, poprawia, tak, że "prezentuj broń" do fotografii wypada zupełnie dobrze.

Opodal inna gromada zapoznaje się z budową ręcznego karabinu maszynowego. Pan podchorąży "trzyma" właśnie pogadankę. Słuchają uważnie, słuchają wprost chciwie, bez śladu znużenia czy zniechęcenia. Rozebrany karabin składa Góral tak szybko, jakby nigdy w życiu nie robił nic innego. Gotowe! Potem ujmuje broń w potężne łapska, staje w pozycji i jak posąg zamiera w bezruchu. —"Wspaniały chłop—mówi drużynowy—urodzony żołnierz!"

Temu w spotkaniu z wrogiem napewno nie zadrży ręka.

W małej kotlince, tuż przy ścieżce, rozsiadła się wygodnie inna gromada, studiująca zagadnienie granatu ręcznego. Na całym wzgórzu wre praca rzetelna, żmudna, ale dokładna nad przetworzeniem pełnych zapału rekrutów w wyborowych żołnierzy. Schodzimy ze wzniesienia, gdy nagle wyrasta przed nami rząd luf ćwiczącej tyraliery. Tuż obok przerabiają celowanie w masce gazowej. Przy okazji dowiaduję się, że ochotnicy byli już i na strzelnicy i praktyczne strzelanie dało dobre wyniki. Następuje przerwa w ćwiczeniach i zmiana grup dla uniknięcia jednostajności i znużenia.

Schodzimy ze wzgórza do miasteczka, aby odwiedzić inną kompanię ochotników, pracującą w parku. Program zajęć jest tam podobny jak na wzgórzu. I podobna jest gorliwość instruktorów i ochotników. Nigdzie śladu zobojętnienia, mechanicznego "odwalania" roboty, ani znaku tak popularnej chęci "obijania." Patrzę z podziwem, z niejakim zawstydzeniem wspominając własne rekruckie przeżycia w odległej dobie przedwojennej. Polanka w parku tętni życiem, a tuż obok saperzy pracują pośpiesznie wznosząc nowe baraki dla tych, którzy przyjadą niebawem, może już są w drodze.

Słońce zniża się wolno ku zachodowi barwiąc na czerwono stadka lekkich obłoczków, z otaczających miasto pagórków spływa przejrzysta mgła. Kończą się zajęcia na polu, a cały batalion ściąga do świetlicy w hallu kościelnym, gdzie na zakończenie dnia pracy ma się odbyć pogadanka. Drużyna reporterska podąża w ślad za ochotnikami.

Świetlica jest przestronna i bogato, jak na obecne warunki wyposażona: ściany ozdobione reprodukcjami obrazów Matejki. Jest "Hołd Pruski," "Bitwa pod Grunwaldem," są portrety królów polskich, fotografie miast ojczystych. Na stołach, ustawionych wzdłuż ścian, rozrzucone pisma polskie, ukazujące się w Wielkiej Brytanii i za oceanem, szachy, warcaby i inne gry świetlicowe. Jest dobrze zaopatrzona biblioteka.

Na wzniesienie wchodzi oficer oświatowy, gwar ucisza się natychmiast. Tematem pogadanki jest sytuacja strategiczna na froncie wschodnim. Padają cyfry, nazwy miejscowości, ocenia się sytuację polityczną. Ale to tylko pierwsza część zebrania, bo oto prelegent przerzuca się na inny temat wracając wspomnieniami do walk wrześniowych, stoczonych przed dwoma laty. Wszystkie oczy kierują się ku ścianie, na której rozpięto dużą mapę Polski. Grube, czarne krechy zakończone strzałkami znaczą kierunki, z których ruszył najazd na naszą Ojczyznę. Dużo tych strzałek, bardzo dużo. Od strony Śląska i Prus Wschodnich, od Pomorza i Gdańska, od słowackiej granicy. . . . Jak szpony dzikiej bestii wpijają się one w żywy organizm Rzeczypospolitej. Głos prelegenta nacicha, ale cisza panuje tak wielka, że słychać dokładnie każde słowo.

Płynie opowieść o walce przegranej, ale bohaterskiej, o klęsce ofiarnej, która miała się stać natchnieniem wszystkich ludów miłujących wolność. Patrzę na salę, gdzie w nieruchomych pozach, jakby skamieniali siedzą żołnierze. Zaduma osiadła na ich twarzach. Jak urzeczeni patrzą na mapę, przeciętą strzałami zalewu barbarzyństwa. Słuchają, słuchają. . . .

Musieliśmy wracać. Nie mogłem pozostać do końca pogadanki i wymknąłem się cichutko. Ale w drzwiach odwróciłem się i spojrzałem jeszcze raz na salę. Zadumani siedzieli żołnierze. Z niektórych twarzy ustąpiła już ponura zaduma, którą wywołały bolesne wspomnienia. Dojrzałem na nich determinację, świadomość obowiązku żołnierskiego, pragnienie walki.

Wyszedłem na palcach. Za mną, na sali zasłuchani w opowieść o poświęceniu i bohaterstwie pozostali ochotnicy z za Oceanu. Pierwsze szeregi odsieczy, która przybyła, aby pomścić Polski Wrzesień.

LUDWIK BOJCZUK

SPRAWA INWALIDÓW WOJENNYCH

Szanowny Panie Redaktorze,

Kwestia ustalenia uprawnień i rent należnych inwalidom wojennym staje się coraz bardziej pilną.

Kilkuset inwalidów polskich znajduje się w różnych sanatoriach, szpitalach i Domu Pracy w Eliock, gdzie otrzymują tylko utrzymanie i drobną pomoc pieniężną, /12 szyl. tygodniowo/: mniej poszkodowani inwalidzi pracują w przemyśle lub przechodzą przeszkolenie zawodowe, reszta żyje na "billetingach." Nikt nie pobiera normalnej renty inwalidzkiej.

Ten stan rzeczy wpływa bardzo deprymująco na wielu ludzi, którzy uważają, że inwalidzi wojenni posiadają pewne określone prawa do odszkodowania proporcjonalnego do stopnia utraty zdrowia na skutek służby wojskowej, skromne zaś zapomogi traktują raczej jako jałmużnę uwłaczającą ich godności.

W praktyce, uregulowanie tej sprawy ulega zwłoce ponieważ większość inwalidów wojennych nie ma dotychczas załatwionych formalności związanych z ustaleniem stopnia inwalidztwa, co jest zasadniczym warunkiem uprawnienia do pobierania renty inwalidzkiej.

Obowiązująca nas ustawa o zaopatrzeniach inwalidzkich *pozostawia pieczy samego inwalidy* sprawę dostarczenia dokumentów niezbędnych do skompletowania aktów osobistych służących za podstawę orzeczenia Komisji Rewizyjno-Lekarskiej. Jest to zadanie dość skomplikowane, zwłaszcza dla pojedyńczych inwalidów rozrzuconych po całej Anglii i Szkocji, a zmuszonych dokonywać starań w biurach różnych jednostek wojskowych, konsulatach i urzędach nieraz w dalekich krajach, lub też wyszukiwać we wszystkich ośrodkach wojskowych świadków mogących potwierdzić zeznania inwalidy. Wielu inwalidów nie wie nawet o tych obowiązkach, jak również o tym, że ustawa obecna przewiduje stosunkowo krótki termin do zgłaszania pretensyj o uprawnienia inwalidzkie.

Zarówno z racji położenia materialnego inwalidów, jakoteż wobec stanu wojny i możliwości przerzuceń jednostek kombatanckich, sprawa uregulowania sytuacji prawnej obecnych inwalidów winna być postawiona na porządku dziennym.

Sprawa ustalenia warunków bytu i przyszłości inwalidów posiada ponadto olbrzymie znaczenie natury psychologicznej nie tylko dla samych inwalidów, ale przede wszystkim dla wszystkich żołnierzy polskich, którzy pragnęliby wiedzieć, że w razie nieszczęścia—ich rodziny będą otoczone właściwą opieką, a w wypadku utraty zdrowia inwalida korzystał będzie z ustalonych z góry praw i pomocy.

Poza tym, niezbędne jest zająć się tą sprawą poważnie ze względu na opinię publiczną, która żywo interesuje się dolą inwalidów i bardzo łatwo ulega skrajnym odruchom: bądź potępia w czambuł wszystkich inwalidów jako wykorzystujących swój tytuł, bądź przeciwnie—wymyśla na władze za to, że "krzywdzi" inwalidów.

Wiemy, że w żadnym innym bodaj wypadku nie jest trudniej należycie ustalić punkt, w którym kończy się sprawiedliwe uprawnienie obywatela, a zaczyna się nadużycie interesów publicznych. To też temat ten nadaje się znakomicie do demagogicznych występów polityczno-partyjnych, lub na argumenty wiecowe.

Sprawą obrony spraw inwalidzkich powinni zająć się przede wszystkim sami inwalidzi. Szeregi inwalidów na emigracji, lub w kraju, liczą reprezentantów wszystkich stanów, klas, wyznań i poglądów politycznych—jest to więc miniatura stosunków społeczno-politycznych kraju, co pozwala twierdzić, że wspólnie opracowane przez nich projekty ustaw regulujących byt i prawa inwalidów ujęte będą rzeczowo i sprawiedliwie.

W stolicy W. Brytanii—Londynie, jako naszej tymczasowej stolicy, powinna i może powstać poważna organizacja inwalidów wojennych, zdolna:

1/ załatwić sprawy bezpośrednio dotyczące członków Związku—t.j.: uregulowania ich sytuacji prawnej drogą ułatwienia im skompletowania aktów osobistych i umożliwienia pracy Komisjom Rewizyjno-Lekarskim, a następnie praktycznej pomocy w uregulowaniu materialnego bytu inwalidów w W. Brytanii;

2/ już dzisiaj przygotować i przedłożyć właściwym czynnikom państwowym projekty najpilniejszych reform ustawy o uposażeniu inwalidów, wdów i sierot po poległych, jakoteż ustalenia zasadniczych praw i miejsca inwalidów w społeczeństwie polskim po wojnie.

Jaki powinien być ten Związek, ażeby powyższe zadania mógł zrealizować? Związek Inwalidów Wojennych P. w W. Brytanii winien być: *powszechny, demokratyczny, samodzielny i bezpartyjny.*

Powszechny—t.j. organizacja powinna łączyć wszystkich inwalidów, z wszystkich wojen polskich oraz rodziny po poległych żołnierzach i oficerach zamieszkujących w W. Brytanii, a nawet poza jej granicami. Gdziekolwiek znajduje się choćby mała grupa inwalidów wojennych powinno powstać ogniwo Związku, jak to zapoczątkowano w Eliock.

Związek winien stosować w całej rozciągłości zasady demokratyczne, o które dziś walczymy obok Aliantów: znaczy to, że w szeregach Związku wszyscy korzystają z równych praw i podlegają równym obowiązkom. Dyscyplina organizacyjna zastępuje dyscyplinę wojskową, a decyzja większości obowiązuje wszystkich członków organizacji.

Samodzielny—to znaczy niezależny materialnie od nikogo.

Bezpartyjny. Ten warunek uważam za podstawowy, jeśli chcemy uniknąć osłabienia powagi i rezultatów akcji Związku wśród społeczeństwa polskiego na emigracji, a następnie w kraju, oraz uchronić organizację od wciągnięcia jej w swary polityczne, które już dzisiaj tak wiele szkodzą sprawie polskiej zagranicą, po powrocie zaś do kraju napewno nie ustaną.

Inwalidzi wojenni są dojrzali i dorośli pod każdym względem ażeby sami stanowić autonomiczny blok społeczny podporządkowany jedynie interesom narodowym i państwowym.

Równocześnie stawiam jednak pytanie: czy polscy inwalidzi wojenni wyobrażają sobie, że po zwolnieniu ze służby czynnej mają tylko prawa, a już żadnych obowiązków? *Czy w tym totalnym wysiłku narodów alianckich w celu wygrania wojny, a następnie pokoju, nie ma dziś dla nich roli, którą inwalidzi mogą i powinni odegrać?*

Władysław Karasiewicz

Skrzynka pocztowa

PROPAGANDA CZYNÓW

Szanowny Panie Redaktorze,

Zechce Pan uprzejmie umieścić następujące uwagi w sprawie propagandy Polski, w związku z jej stale aktualną pozycją na tle rozgrywających się wydarzeń.

Jako ochotnik w Armii Polskiej z Płd. Ameryki i jako dziennikarz, pracujący zagranicą, chciałbym poruszyć tę sprawę przede wszystkim dla tych, którzy przebywając zawsze w Polsce i nie znając innych krajów, powątpiewali o naszej wartości w "rodzinie" narodów.

Utarło się mniemanie, że tylko propaganda, robiona za kolosalne sumy, ma wartość. Wiadome jest powszechnie, że wszystkie bez wyjątku państwa wydawały astronomiczne sumy na propagandę. Polska była jednym z niewielu państw, które nie hołdowało tej zasadzie.

Wprawdzie były u nas w kraju odłamy społeczeństwa, które żądały tej propagandy, ja jednak jako dziennikarz, ośmielam się do prawa głośnego oświadczenia, że Polska wspaniale obchodziła się bez "propagowania się", ponieważ znajdowała się na najlepszej drodze do osiągnięcia sławy i popularności za pośrednictwem najistotniejszej i wcale oryginalnej propagandy: swej pracy twórczej, swego rozmiłowania w wolności i obrony tej wolności za każdą cenę.

Przykład: Wspaniała i "niepłatna" karta propagandy polskiej w walkach o wolność i nie tylko swojego państwa. Nazwy miast i wsi w Ameryce Płd. po Kościuszce i Pułaskim, Polacy u boku Napoleona, szereg czynów i bohaterskich nazwisk oraz znane niejednym z przekładów polskiej literatury hasło inteligencji polskiej z czasów walk o wolność: "za Naszą i Waszą Wolność"—oto tematy, które służyłyby zagranicy do poematów, opowiadań, teatru, kina, słowem: do propagandy.

Odbudowana — po zawierusze Wielkiej Wojny—Polska rozpoczęła poważną, pełną wymowy propagandę. Budowano kraj. Owe 20 lat niepodległości ulokowało Polskę w szeregu mocarstw, dając jej piąte miejsce w Europie. Dzieła jak port w Gdyni, jak odbudowa Śląska, liczne linie kolejowe, szereg nowych fabryk, zajmowanie pierwszych miejsc tak w imporcie, jak i produkcji własnej (tkaniny, węgiel, drzewo i td.)—są tej propagandy najlepszym wyrazem, najpełniejszym świadectwem.

Największą jednak rolę propagandy, którą bym nazwał "samopropagandą", spełnia poszczególny polski obywatel, który poza krajem zmuszony był szukać zarobku. Polska, wyniszczona rozbiorami, wojnami, nie była w stanie zatrudnić swych obywateli. Fala emigrantów polskich rozlewała się po całym świecie: nieco mniej Europa, lecz obie Ameryki i kraje egzotyczne dobrze znają Polaków. Ich pracowitość, znajomość fachu, zdolność do wszelkiego rodzaju pracy, sumienność w wykonywaniu powierzonego obowiązku i poczucie odpowiedzialności—dobrze zasłużyły się sprawie polskiej propagandy.

Z drugiej strony Polak nie wynaradawia się—więzy, które go łączą z krajem, mogą osłabnąć przez długie lata pobytu na emigracji, ale nigdy się nie zerwą. Między nami ochotnikami z Ameryki Płd. jest znaczna część ludzi, którzy przebywają na emigracji 10 do 15 lat, ale do walki o wolność naszej Ojczyzny stanęliśmy wszyscy—pozostawiając za sobą rodziny i pracę.

Obywatel-żołnierz wychowany w takim duchu, karmiony tymi hasłami, jest wyrazem najwyższego moral, o którego załamaniu się nie może być mowy. Żołnierz ten, dążąc wojennymi szlakami napoleońskich bitew, niosąc w swym tornistrze legendę Piłsudskiego, czy przekradając się "zielonymi granicami" Rumunii, Węgier, Jugosławii do wojska we Francji, krwawiąc się bohatersko nad Marną i Loarą, broniąc fiordów norweskich, czy twierdzy afrykańskiej, ścigając nieprzyjacielskie okręty podwodne, czy ładując śmiercionośne bomby na porty wroga,—ten żołnierz, walcząc niegdyś tylko na lądzie, dziś jeszcze w powietrzu i na morzu jest naszą propagandą, tym cenniejszą, że nie słowami i pustymi frazesami dajemy znać światu o Polsce i Polakach, lecz czynem.

Józef Gitlin

W SPRAWIE WIERSZA "PROSZĘ PANÓW"

Szanowny Panie Redaktorze,

W odpowiedzi na mój wiersz "Proszę panów," umieszczony w "Polsce Walczącej" /nr. 10/, p. Antoni Lidzki napisał napastliwy wierszyk i ogłosił go w "Myśli Polskiej."

Zamiast dżentelmeńskiej polemiki czy krytyki, p. A.L. wybrał brzydką metodę napaści osobistej. Wybierając tę dawno potępioną przez uczciwą opinię metodę—sam się z góry potępił. Współczuję mu i wybaczam.

Adam Kowalski

W SPRAWIE TERMINOLOGII WOJSKOWEJ

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 12 z dnia 21 marca b.r. umieszczono artykuł Ottona Laskowskiego "W obronie polskiego języka wojskowego." Artykuł bardzo dobry i rzeczywiście na czasie, tylko, że Szanowna Redakcja umieściła równocześnie artykuł Mariana Synkowskiego "Mac Arthur Filipiński," w którym autor używa zwrotów jak: generał-lejtenant i feldmarszałek. Czyż nie można napisać generał-porucznik i marszałek polny?

Z poważaniem

Janusz Przybyś

Z ARGENTYNY

Rosario, 16.II. 1942 r.

Szanowni Panowie,

W tych dniach odjeżdża do Anglii 10-y transport ochotników polskich z Argentyny, pierwszy odjechał 3 czerwca ub. roku. Może to i za mało, ale gdy się zważy, że wszystko to jest samorzutne, bez żadnej poważnej zachęty z góry i bez dostatecznej propagandy, jak również przykładu, bo przecież w B. Aires pełno jest t.zw. inteligencji, nie brak i "zmotoryzowanej sanacji," która tu przybyła via Portugal. Panowie ci uważają siebie za coś lepszego, nie tylko że nie biorą udziału w akcji społecznej kolonii, ale jeszcze i tak już nie idealne stosunki pogarszają.

Druga bolączka to to, że Placówka R.-P. w B. Aires nie troszczy się o liczne towarzystwa polskie na prowincji. Od czasu odwołania p. W. Mazurkiewicza z Argentyny /w 1935/ nikt z jego następców nosa poza B. Aires nie wysuwał, na nasze zaproszenia odpowiadają odmownie z braku czasu, nawału pracy etc. Wszystko to nie sprzyja akcji werbunkowej, to też ze zdziwieniem czytałem o "kolumnach lotniczych" w prasie polskiej z Londynu.

Nieliczne numery świetnie redagowanej "Polski Walczącej," które nas dochodzą, a ostatnio w większej ilości "Odsieczy" z Windsoru, choć w części te luki zapełniają; spotyka się te wydawnictwa tak "zaczytane," że prawie nie znać druku, bo chociaż mamy prasę polską w B. Aires, to jednak pismo żołnierskie jest najulubieńszą lekturą każdego rodaka.

Na zakończenie serdeczne podziękowania tym wszystkim rodakom, którzy przysyłają mi pisma polskie z Anglii, które tu natychmiast rozpowszechniam. Będąc kolejarzem, mam możność rozjazdu, z czego korzystam, a pisma te rozwożę nieraz osobiście, po rozległej Argentynie.

Zasyłam serdeczne życzenia Sz.PP., aby ten rok skończył już tę emigrację, a znaleźliście się w Wolnej Polsce.

Z poważaniem

Franciszek Dembicki

Z SZWAJCARII

Wetzikon, /Szwajcaria/, 21.III.42.

Panie Redaktorze,

Bardzo dziękuję Panu Redaktorowi za "Polskę Walczącą," którą zaczynam co raz częściej otrzymywać, a między innymi dn. 20.III. otrzymałem świeży "transport," tak bardzo oczekiwany przez cały nasz obóz. Proszę bardzo Pana o dalszą pamięć w sprawie gazet.

Proszę o poinformowanie, czy jest przekład na język polski "Polskiej Białej Księgi" i czy istnieje możliwość otrzymania z Anglii.

Przesyłam Panu Redaktorowi najserdeczniejsze żołnierskie pozdrowienia z Obozu oraz życzenia Panu i współpracownikom Wesołego Alleluja!

Czołem

/—/

Czytając listy rodzin polskich odnalezionych w Rosji

/por. nr. 9, 16, 17 i 18 "Polski Walczącej" z b.r./

Na czwartej stronie "Dziennika"
anons. /Nie byle gratka!/
"Odczyt: Los Polek w Rosji.
Poczem nastąpi herbatka."

Nie będę słuchać odczytu,
nie będę pić tej herbatki—
bo gorzką by mi się zdała
po mowach słodkich i gładkich.

Zejdą się wszystkie ostoje
naszej londyńskiej society,
bo przyjść wypada—gdy mowa
o losach polskiej kobiety.

I szeptać będą na ucho
swych własnych trosk bezmiar cały:
—"Wciąż trudniej o czekoladę . . ."
—"Wie pani—kina zdrożały!!"

Więc wolę nie iść tam, nawet
gdyby kto bardzo mnie prosił.
Ot, przejrzę ten wykaz Polek,
odnalezionych w Rosji.

Jadwiga Żurawska z matką,
dwoma synkami i córką.
Mieszka: Kazachtańska obłast;
Fiedorskij rejon—wieś Burkow.

Julia Stefańska ze Lwowa
/która w Oflagu ma brata/
dziś żyje w Kołchozie Tałgar,
w obłasti Ałma Ata.

Daleko jest z Kirgistanu
do rojnych ulic Londynu,
którędy pani radczyni
jeździ na targ limuzyną.

Daleka droga i ciężka
ta poniewierka i praca.
"Nie myśl o moim powrocie,
bo stąd się już nie powraca . . ."

Samotne w stepach kirgizkich,
a jakie mężne! I nawet
mężniejsze od tych, co legły
w zgliszczach spalonej Warszawy . . .

Geniusze na billetingach!
Zacni krytycy Umowy!
Wy—którzy macie na wszystko
argument zawsze gotowy!

W powodzi słów i ulotek
i komentarzy i kwestii—
was razi ta "nieformalność"
zawarta w słowie: Amnestia.

Gdy ciągle jeszcze biadacie,
że to błąd wielki i zgroza—
spytajcie, co o tym myślą
Polki zwalniane z kołchozów!!

Niech do was wreszcie przemówi,
jak do mnie—tu rozpostarta—
ta Księg Pielgrzymstwa Polskiego
tragiczna i żywa karta!!

OR—SI

MAJORCZYK Ernest i Heinz, ostatnie miejsce pobytu Lwów, Sakramentek 8, wysłani w sierpniu 1940 r. do Rosji, poszukiwani są przez matkę: 41, Cazenove Road, London, N.16.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.